Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 4 sierpnia 1935 r. Nr. 31.



Na „Swięto Gór"

Zjadą się ludzie z polskiej ziemicy,
Z równin Mazowsza, z Kujaw, Pomorza,
Z stron Wielkopolski, z Śląska granicy
W tatrzańskich gór rozległe złoża.

Niemało zdziwi się Giewont stary,
Gdy u podnóża się jego zbierze
Lud podhalański, a przy nim chmary
Gości z dalekich Polski rubieży.

Oj! uraduje się Giewoncisko,
Kiedy w jedności, jak zgodni bracia,
Złączą swe dłonie, tak sercem bliscy,
Tak sobie wierni ci z Podkarpacia.

Będzie weselił się Giewont stary,
Gdy cała Polska zawrze z górami
Przymierze trwałe, i ich obszary
Co rok uświetni odwiedzinami.

Marja Zemmlerówna.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

14)

A panowie odpowiadali z przekonaniem. — Ma jednak wabika, niczego sobie... wcale... wcale... —

Taka to już natura męska. Rośnie sobie niejeden fijołek w ukryciu niedostrzeżony, niedoceniony. Przechodzą koło niego obojętnie całe procesje mężczyzn i żaden nie zatrzyma się, nie zainteresuje, ale niech tylko jeden z tej procesji nachyli się, powącha z przyjemnością — co za ładny kwiatek — orzeknie, wnet cała masa współtowarzyszy wyciągnie pożądliwie ręce po kwiatek, dziwiąc się, że nie zauważyli go przedtem, a każden pragnie go, jeżeli nie posiąść, to chociaż powąchać lub choć dotknąć.

Panie nie przekonywała opinja towarzyszących im mężczyzn, a wprost przeciwnie usposabiała do krytyki, wywoływała niechęć.

— Żadnego w niej wabika nie dostrzegamy — upierały się.

— Chyba jedynie tylko oczy ujdą — zdecydowała któraś z bezstronniejszych.

— No tak, oczy... ale pozatem...

A panowie niezmiennie: — Ma „coś".

— — — — — — — — —

— Niech pani zatańczy ze mną — prosił ją do tanga pan Antek — tylko raz jeden, przecież obecne tańce to raczej spacer z podrygami.

Wstała, acz niechętnie. Tak prosił, nie chciała mu odmawiać. Dawny, dobry znajomy i kolega. Przyniósł jej echo czasów, które już nie wrócą.

Tańczyli niedługo, parę minut, poczem odprowadził ją do gabinetu.

— Nie zostanę na sali, bo znów ktoś będzie się czuł w obowiązku zaprosić mnie, nie robiąc tem ani sobie, ani mnie przyjemności.

W gabinecie zastali adwokatową Perczyńską i panią Protopow. Obydwie siedziały z minami znudzonemi, paląc nerwowo papierosy.

Nie zaprosił ich nikt do tańca, nie chciały się więc pokazywać na sali.

Pan Antek, usadowiwszy panią Gabrynię, skłonił się przed ładną mecenasową, której już był przedtem przedstawiony. — Służę pani.

Pani Perczyńska zgasiła papieros o popielniczkę i rozradowana baletowym krokiem opuściła z tancerzem pokój.

Zostały we dwie z panią Protopow.

— Mówiła pani, że nie tańczy — zauważyła zjadliwie pani Luba.

— Owszem, nie tańczę, a raczej tańczę mało i niechętnie. Zrobiłam wyjątek dla pana Stebnickiego, bo to mój kolega z uniwersytetu, by nie zostać znów przez kogoś zaproszoną.

— Och, odnajdą panią napewno — docięła jej złośliwie.

— Skąd taka pewność — zdziwiła się niemile pani Gabrynia.

— Zachwyt bogów wywołuje zachwyt wyznawców — odpowiedziała, cedząc przez zęby.

Błysk zrozumienia przemknął po twarzy pani Gabryni, oczy zamigotały wesołością.

— Ma pani rację — odpowiedziała ze słodyczą — nie pomyślałam dotąd o tem, bo i uprzejmość pani ma prawdopodobnie to samo źródło.

Pani Protopow drgnęła jakby ją osa ucięła.

— Nigdy nie kieruję się cudzem zdaniem — odparła z oburzeniem.

Pani Gabrynia, wpatrzona w akwarelę Batyckiego, wiszącą na przeciwległej ścianie, uśmiechała się jakby do swych myśli, a gdy w minutę po odpowiedzi pani Protopow wszedł kapitan saperów Macieszko i poprosił ją do foxtrotta, przyjęła jego ramię, a wychodząc rzuciła triumfujące spojrzenie swej towarzyszce.

Panie kapitanie, niech pan mnie zwolni od tego tańca — prosiła, gdy weszli na salę. Nie lubię tańczyć. — Wyszłam z panem, bo chciałam się odczepić od towarzystwa tej przyjemnej pani.

Ukłonił się na znak zgody, pocałował ją w rękę i odszedł.

Siadła na krześle pod ścianą i przyglądała się tańczącym.

Powiodła okiem za mężem, tańczącym ze śliczną panią Kukiełkową, zapatrzyła się na uroczą sylwetkę pułkownikowej w objęciach dorodnego szefa sztabu i na chwilę cień smutku padł jej na twarz.

Zamieniła uśmiech z panem Stebnickim, foxtrottującym zawzięcie ze staruszką rościną.

Sympatyczny Antek mało się zmienił.

— Jaki świat jest mały — pomyślała.

— Bern i ten kresowy, końcowy garnizon tysiące mil odległe od siebie, a mimo to spotkali się.

— Jakie szczęście, że Staszek, kochany, poczciwy Staszek ożenił się.

— On i Antek — to dwaj nierozłączni przyjaciele.

Stasiek i Antek — pod temi imionami znali ich nie tylko koledzy i koleżanki ale i poczciwe mieszczuchy Berneńskie.

— Stasiek i Antek — ot wszystko. Nie trzeba było nazwisk, legitymacji, wystarczały te dwa imiona.

— Tyle miłych chwil im zawdzięcza!

Mignęła jej w tańcu przysadkowata, trochę wulgarna, pulchna figura płatnikowej. Spotkały się oczami.

Na widok siedzącej uniosła brew do góry. Wzrok jej zdawał się pytać ze zdumieniem:

— Sama? —

— Jak pani widzi — odpowiedziała jej rozbawionem spojrzeniem pani Gabrynia.

Ktoś siadł obok.

Spojrzała przez ramię.

Pułkownik.

Zwróciła się ku niemu uprzejmie chociaż z lekką zmarszczką niezadowolenia.

— Nie tańczy pan?

— Nie, nie lubię tańców i tańczę tylko z musu, z konieczności, z obowiązku gospodarza, gdy niema mnie kto zastąpić. —

· Za to pani pułkownikowa zdaje się przepada za tańcem.

— To też tańczy za mnie i za siebie — uzupełnił.

Pogonił za żoną wzrokiem, odszukał jej w tłumie, przyglądał się chwilę jak zręczna i lekka robiła wrażenie motyla i westchnął.

Zniżył głos, głowę nachylił ku towarzyszce: — Niech pani mi szczerze powie, czy bardzo jest pani przykry mój widok? —

Zaprzeczyła uprzejmie: — Ależ nie, cóż znowu? Raczej obojętny, jeżeli mam być szczerą. —

— Mimo tego zaprzeczenia patrzy pani na mnie, jak na człowieka bez poczucia odpowiedzialności za swoje słowa, a może bez honoru... —

Wzruszyła ramionami, usta jej wygiął grymas ironji.

— Czy panu pułkownikowi aż tak bardzo zależy na opinji takiego skromnego nic nie znaczącego pionka, żony zdyskwalifikowanego urzędnika?

— Dlaczego mnie pani tak męczy — skarżył się —

— Chce mnie pani doprowadzić do rozstroju nerwowego? —

Obruszyła się i oczy jej zabłysły ogniem.

— Czy to ja zahaczam ustawicznie ten temat? Czy ja wobec pana pułkownika choć jednem słówkiem poruszam przeszłość lub wysuwam jakie pretensje do pana?

— To właśnie najgorsze — szeptał znie chęcony — To pogardliwe przemilczanie jest gorsze niż wyrzuty lub pretensje i łzy.

Odpowiedziała spokojnie, obojętnie, wodząc oczami po tłumie.

— Trudna rada, taka już jestem.

Ożywiła się nagle , jakby sobie coś przypomniała.

— Prosiłabym pana pułkownika o odesłanie mi pamiętnika.

— Przyniosę go sam. —

— Nie, lepiej niech mi go pan odeszle.

— Jak sobie pani życzy — odrzekł sztywno.

W przelocie dotknęło ich spojrzenie pułkownikowej, mocne, zazdrosne, rozżalone.

— Pana żona nie lubi mnie — zauważyła z uśmiechem.

— Zazdrosna jest; po dziecinnemu ujmuje sprawę, a jednak rozumie, że wspomnienia, a szczególniej połączone z wyrzutami sumienia, są groźnymi rywalami. —

— Niech mi pani wierzy, że pragnąłem spotkania z panią a bałem się go jednocześnie i miałem dobre przeczucie.

Skończyło się tango. Ktoś przysiadł się do nich.

Pułkownik wstał i podszedł do żony. Powitała go obrażoną minką i błyszczącemi podnieceniem oczami. Mała rączka szarpała nerwowo chusteczkę koronkową.

Nachylił się ku niej, zajrzał w oczy, wyszeptał coś widać miłego, bo skrzywione usteczka rozchylił uśmiech pogodny, a wyraz błękitnych oczu złagodniał.

O wieczna męska obłudo, a łatwowierności kobieca!

Gdy pary znów zebrały się na sali do kontredansa Olgierdowie Gozdawa opuścili bal.

— Wiesz, mówił mi prezes, że jestem przeniesiony do Chybina oznajmił w drodze żonie, gdy szli piechotą pustemi alejami miasta do domu.

— Ach, jak dobrze — ucieszyła się. — Tak była zmęczona warunkami mieszkaniowemi i tą walką z napastliwością Pragniewicza i tą atmosferą, która wytworzyła się w fabryce dokoła nich dzięki byłemu dyrektorowi, że wyjazd stąd niósł jej nadzieję spokoju, wytchnienia moralnego i odprężenia nerwów. Był zapowiedzią lepszego, przyjemniejszego jutra.

— To jej sprawka — pomyślała o pułkownikowej Daszkowskiej. — Zna swego męża. Wie, że u niego co na placu to nieprzyjaciel, ale i co z oczu to i z myśli i z serca schodzi.

* * *

Pułkownikostwo wrócili po balu bardzo późno, bo dopiero o godzinie szóstej. W sennym nastroju rozbierała się pani Renia, zdejmując z trudem obcisłą suknię.

Pułkownik podszedł do żony.

— Pozwól Reniu — odsunął jej zmęczone palce i delikatnie przez głowę ściągnął z niej suknię, jak z dziecka.

W milczeniu pozwoliła mu się rozebrać i dopiero w łóżku, otulona przez męża troskliwie kołdrą, rozpłakała się.

Przypadł do niej, zaniepokojony.

— Reniuś, a to czego, maleńka?...

— Bo... bo... chlipała — choć jesteś taki dobry dla mnie, nie kochasz mnie jednak... wolisz ją...

Przykląkł, otoczył ją ramieniem.

— Nie bądź, najdroższa, rozkapryszonem dzieckiem, które maże się nieraz z urojonych powodów. Wiesz dobrze, że kocham cię i kochałem nawet ponad sumienie.

Gładził ją po włosach delikatnie, z czułością ojcowską.

— Taka była młoda i taka dziecinna jeszcze.

Usnęła pod tą pieszczotą, uśmiechając się przez sen ze łzami perlącemi się na rzęsach, a jemu, gdy patrzył na nią, mignęła blada, o ironicznym wyrazie twarz pani Gabryni i jej chłodne wyniosłe spojrzenie.

Zmarszczył brwi boleśnie.

* * *

Po południu zebrały się panie u dyrektorowej, by omówić wrażenia z balu.

— Ileż zawodów... ile, po balu tym... a najgorsze to, że duma i miłość własna nie pozwala na przyznanie się do tych zawodów.

Pułkownikowa wyglądała mizernie; miała podkrążone oczy i zgaszony wyraz twarzy.

Była rada gościom. Wyciągnęła z kredensu jakieś pierniczki, cukierki, sucharki, kazała podać herbatę i słuchała ciekawie opinji zebranych pań.

— Bal był bardzo udany — osądziła pani Lunia Petrykowska.

— Bal był nudny — zadecydowała pani Protopow.

— Młodzi ludzie nierycerscy, woleli ziewać po kątach niż tańczyć — narzekała Płatnikowa.

— U nas w Krakowie młodzież przychodzi na bal, żeby się bawić, a nie ściany podpierać — orzekła pani Zaza.



W obecności francuskiego ministra marynarki Piećtri odbyły się w Brest wielkie manewry floty francuskiej. Zdjęcie nasze przedstawia widok wspaniałej defilady, w której wzięło udział 100 jednostek floty bojowej.

— Pani inżynierowa Sikora miała śliczną suknię, ale wyglądała w niej źle. Jak można mieć tak mało gustu — oburzała się inżynierowa Pelczyńska.

— Pani pułkownikowa — tu wszystkie panie jak na komendę zwróciły oczy na dyrektorową, — była najładniejszą i najgustowniej ubraną. —

Uśmiecha się dziękczynnie pułkownikowa, wierzy im, bo i sama jest o tem najmocniej przekonaną, nie może jednak powstrzymać się od westchnienia i od uwagi, rzuconej drżącym, cichym głosem.

— Ale najwięcej powodzenia miała chyba pani Gozdawina, była stale otoczona panami.

— Tylko oficerami — uzupełnia z naciskiem pani Protopow, sznurując usta na wzór hrabin z dziewiętnastego stulecia.

— Przykład z góry — ciska zatrutą strzałę pani Pelczyńska. Pułkownikowa blednie i oczy jej zasnuwają się szklistą powłoką łez, a usta drżą nerwowo.

Chwilkę walczy z ochotą do płaczu, opanowuje się jednak i odpowiada spokojnie, ale głosem przepełnionym smutkiem i goryczą.

— Najgorszą rzeczą dla kobiety jest wychodzić zamąż za dużo starszego od siebie człowieka, bo zawsze taki ma jakieś porachunki przeszłości, zobowiązania, bądź to materjalne czy moralne, lub też wspomnienia nieprzyjemne i niepożądane dla żony.

Panie zamieniły ze sobą porozumiewawcze spojrzenia ponad spuszczoną głową dyrektorowej.

Pani Ania Knotte żona starszego chemika przerwała kłopotliwe milczenie, które zapanowało po wyznaniu pułkownikowej.

— Czy słyszała już pani pułkownikowa, że pana Gozdawę przenoszą do Chybina na kontrolera.

Twarz pani Reny rozjaśniła się, jakby padł na nią promień dawno niewidzianego słońca.

— Nie może być! — wykrzyknęła niedowierzająco, a radośnie.

— Naprawdę — potwierdziła skwapliwie pani Protopow — sam on mówił memu mężowi na balu.

Gdy panie odeszły, pułkownikowa nie mogła sobie miejsca znaleźć z radości, że rywalka wyjeżdża. Chodziła po pokojach, przesuwała i przestawiała meble, całowała raz po raz Jareczka, który krzywił się na te pieszczoty, bo odrywały go one od pracy naprawiania zepsutej lokomotywy, a on miał być sławnym inżynierem, który budować będzie wagony i lokomotywy dla całego świata.

Nuciła najnowsze przeboje muzyczne, uśmiechała się do swoich myśli.

* * *

O szarej godzinie, gdy pani Gabrynia, bujając się na fotelu, myślała o zbliżającym się wyjeździe, ktoś energicznie zadzwonił.

Przerwała rozmyślania i nadsłuchiwała.

Długo marudziła służąca nim szczęknął zamek i od progu rozległ się niski, energiczny głos pułkownika Sznelińskiego:

— Czy pani w domu?

— Tak jest panie dyrektorze.

Zerwała się z fotela i odkręciła kontakt. Salonik zalało światło, aż oczy zmrużyła przed jego naporem.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

24)

Na odgłos otwierających się drzwi, zerwał się z siedzenia, przygładził ręką włosy i stanął w postawie kornej, w oczekiwaniu, aż przemówią do niego.

— Wzywałeś mnie? — rzucił pytanie sędzia.

— Tak, panie. Mam do zakomunikowania rzecz dosyć ważną jak sądzę.

— Mów więc.

— Chciałbym złożyć dowód, iż jestem człowiekiem uczciwym, któremu zaufać i wierzyć można. Oto jest papier, jaki wrzucono do mej celi, przed kilkunastoma minutami, w gałce chlebowej. Jest on zapisany jakiemiś cyframi, znaczenia których nie mogłem odgadnąć.

Po słowach tych oddał zmięty papier sędziemu do ręki.

Postępek Maja był tak niespodziewany, iż zdumiał, odurzył wszystkich, jakby uderzenie obucha. Więzień zdawał się jednak nie widzieć sprawionego słowami swemi wrażenia i spokojnie mówił dalej:

— Przypuszczam, iż pomylono się w oknie. Wiem, iż nie jest to etyczne zdradzać tajemnicę towarzysza losu, znoszenie jednak katuszy więziennych jest ponad moje siły, więc zdecydowałem się na złożenie zeznania tego, w nadziei, iż może przekona ono pana sędziego o mej niewinności.

Na szczęście, umysłowość p. Segmullera była wyższej miary, to też nie dał on się wziąć na ten wybieg. Obrzucił więźnia przeszywającym wzrokiem, a następnie rzekł wolno a dobitnie:

— Kłamiesz. List ten był dla ciebie przeznaczony!

— Dla mnie? Więc mnie pan uważasz za ostatniego chyba głupca. Jeżeli był on do mnie pisany, to z jakiej dobrej racji i przyczyny miałbym zawiadomić pana sędziego o jego otrzymaniu?... Przecież nikt nie widział, jak go rzucano.

Wszystko to było powiedzone z wybuchem tak szczerego oburzenia, że dyrektor zachwiał się w swem przekonaniu i wracać zaczął do swych dawnych wątpliwości.

— Dowiodę ci, że kłamiesz! — powtórzył raz jeszcze spokojnym tonem p. Segmuller.

— Doprawdy?... Byłby pan wtedy bardzo zręcznym sztukmistrzem!... O, panie sędzio, proszę mi wybaczyć, nie miałem zamiaru go obrażać.

Ale sędzia na wyrażenie się badanego nie zwrócił nawet uwagi. Stał nieskończenie wyżej i taki Maj nie mógł go obrazić.

Nakazał więc tylko więźniowi milczenie, a zwracając się do Lekoka, rzekł:

— Pokaż obwinionemu klucz szyfru, jakiego używa, porozumiewając się ze swymi wspólnikami.

Twarz mniemanego Maja skurczyła się natychmiast, stała się groźna i zła.

— Ach to ten pan ajent — powiedział głosem chłodnym... — wymyślił to. Ten sam, który usiłuje zrobić zemnie jakąś bardzo wielką podobno figurę. Że zaś brakuje mu dowodów na to, więc stara się je sam fabrykować.

Rzekomy hecarz wypowiedział słowa te z taką głębią pogardy, że Lekok z wielkim trudem powstrzymał się, by się nań nie rzucić. Opanował się jednak. Z posępnym spokojem wziął ze stolika więźnia jego tomik piosenek Berangera i litera za literą udowodnił mu, że przy pomocy książki tej sens listu wyrozumieć można doskonale, że wszystkie liczby zamieszczone w liście mają swoją logikę i treść.

Te druzgocące dowody nie zdołały jednak przekonać Maja. Zdawał się być zdumiony tym systemem korespondencji, a nawet przyznawał, iż jest on doskonały, dodał jednak, że policja jedynie jest zdolna do wynalezienia takich nadzwyczajności.

Mniemany Maj raz jeszcze zwyciężył. Jego upór i wytrwałość były nie do przełamania.

Gdy p. Segmuller znalazł się w swym gabinecie, rzucił się na fotel ruchem człowieka znużonego śmiertelnie i ze słowy:

— Trzeba będzie uznać się za zwyciężonego. To jest człowiek ze stali.



Znamy wszyscy z dzieciństwa opowiadania o podróżach Gulivera. Chłopczyk na zdjęciu doskonale się w nie wczuwa, skoro urządza sobie zabawy, przypominające otoczeniem fantastycznego podróżnika.

— Wszystko to bardzo piękne — odezwał się dyrektor — przyznać się jednak muszę, iż ja nic nie rozumiem, z tej całej jego komedji. Z jakiej racji odegrał on ją przed nami?

— Eh! — odpowiedział Lekok — że też pan dyrektor nie zrozumiał takiej prostej rzeczy. Nie było to nic innego, jak próba wpojenia w myśl pana sędziego przekonania, iż to ja sam sfabrykowałem list wczorajszy. Nie ryzykował nic, bo już odgadł, że tajemnica jego korespondowania ujawnioną została, a mogło się udać. Bo gdyby pan sędzia uznał, że tak było istotnie, ja byłbym uznany za nikczemnego filuta i fałszerza, zaś on pozostałby „Majem", to jest tym, za jakiego uchodzić pragnie. Jedna rzecz tylko interesuje mnie w tem wszystkiem, jakim sposobem mógł on się dowiedzieć, że jest on przezemnie obserwowany i że przyjąłem list dla niego przeznaczony?... Oto jest jedyny punkt ciemny w całej tej aferze.

Zapanowało głuche milczenie, w czasie którego Lekok i dyrektor obrzucać się zaczęli podejrzliwemi spojrzeniami.

— Hm... hm... — myślał dyrektor — dlaczegoż by ów list, który wpadł do celi Maja, w czasie mej tam obecności nie mógł być rzucony istotnie ręką Nalewajki?

— Jest rzeczą więcej niż możliwą — Lekok znów myślał — że ten niedołęga dyrektor wypaplał wszystko Żewrolowi, który... niezbyt wielką darzy mnie sympatją i zdaje się być zdolen do wszystkiego, byle usunąć z drogi nie nazbyt pożądanego konkurenta.

Na tej pieśni bez słów skończyła się rozmowa.

Po zajściu tem wszystko iść zaczęło normalnym znów trybem. Lekok biegał, szukał, śledził... nie zmęczony w zabiegach, lecz sędzia był zupełnie zniechęcony.

— Rzecz skończona — mówił — wszystko co było do zrobienia, zrobiliśmy. Niezaniedbaliśmy niczego. Że zaś nam się nie powiodło, to już trudno. Nie sposób walczyć z niemożliwością, to też poddaję się. Przesyłam akta prokuratorowi i niech tam w sądzie kryminalnym uniewinniają tego morderce, lub skarżą go pod nazwiskiem Maja. Non Hercules... mam już dosyć tej sprawy.

Nazajutrz nie przyszedł do biura, w którem nie pokazywał się przez tydzień. Na początku drugiego, odwiedził go Lekok w jego mieszkaniu prywatnem, zastał go w łóżku.

— Widzisz mój chłopcze — powiedział p. Segmuller do przybyłego — że ten złowrogi morderca dla sędziów śledczych nie jest nazbyt zdrowy. Zdołał powalić już drugiego. Ach, zręczna to sztuka i zobaczysz, iż w końcu wydostanie się na swobodę, uwolniony z przyczyny braku dowodów winy.

— Być może — odpowiedział młody policjant. — Jest jednak sposób wykrycia jego tajemnicy.

— Jakiż to sposób? — zapytał pan Segmuller zainteresowany.

— Pozwolić mu uciec.

XXXIII.

Ten ostatni sposób, ryzykowny bardzo, nie był, co zaznaczyć należy, wynalazkiem bynajmniej Lekoka. Nie był wogóle żadną nowością. Od niepamiętnych czasów umiała policja zezwalać na ucieczki więźniów, by ich następnie przyłapać.... w liczniejszem towarzystwie.

Wyższe władze jednak dają zezwolenia swe na użycie sposobu tego bardzo niechętnie i w wyjątkowych jedynie wypadkach, ponieważ bywa on obosieczny.

Pan Segmuller wiedział o tem, to też aż zerwał się z poduszek z okrzykiem:

— Oszalałeś?... Nie, z projektu tego nic być nie może, to też nakazuję ci, byś mi o nim więcej nie wspominał.

Młody policjant pochylił głowę z wyrazem udanej uległości i pokory. Nie spuszczał jednak jednocześnie oka z sędziego, będąc przekonanym, iż on sam wróci do tematu tego.

I nie omylił się.

— Niedorzeczny pomysł — mówił po chwili, jakby do siebie sędzia — przypuśćmy jednak, że twój więzień znalazł się na wolności. Cóż byś ty robił w takim razie?

— Co ja bym robił?... Przyczepiłbym się do niego jak bieda do nędzarza. Na jeden moment nie tracąc go z oczu, staję się jego nierozłącznym cieniem...

— Marzenia! Przecież on bardzo szybko spostrzegłby się, iż jest pod nadzorem.

— Są sposoby. Przeobrażałbym się z godziny na godzinę tak gruntownie, że rodzony ojciec nie zdołałby mnie poznać. Będę brunetem, blondynem, starcem, lub młodzieniaszkiem, wytwornym elegantem, albo obdartusem ostatniego rzędu.

— Nie przypuszczam, byś miał być aktorem tak wielkiego talentu, panie Lekok.

— O!... jeszcze jestem daleki od doskonałości, do jakiej dążę. Miałbym jednak odwagę wyrażenia twierdzenia, że nawet pan sędzia, aczkolwiek uprzedzony, rozmawiać będzie zemną jak z człowiekiem obcym, nie poznając mnie.

Pan Segmuller zamilkł, lecz Lekok już wiedział, że sędzia stawiał zarzuty dlatego tylko, by być przekonanym.

— A jednak, mój chłopcze — odezwał się sędzia po dłuższej chwili milczenia — mnie się wydaje, że ty się ogromnie łudzisz. Obaj mieliśmy możność przekonania się, jak bardzo wielką jest przenikliwość człowieka tego. I nie tylko, lecz szybkość orjentacji, odwaga. Czyż więc przypuścić można, że tak mocny pod każdym względem człowiek nie wyczuje zasadzki i da się jak pierwszy lepszy dureń złapać?... Domyśli się tego, bądź pewien, że jeżeli pozwalają na jego ucieczkę, to tylko dlatego, by tej wolności przeciwko niemu użyć.

— Ależ panie sędzio, to wszystko jest w moim planie przewidziane. Ja tak to sobie wyobrażam: mniemany Maj, gdy tylko spostrzeże, że mu uciec pozwalają, bez względu na całą swoją świadomość niebezpieczeństwa i pełnej wiedzy, że go śledzić będą — ucieknie niemniej. Początkowo postępować będzie bardzo ostrożnie, niczem się nie zdradzi, jednak w krótkim czasie uczuje się znużonym. Będzie bez grosza, a żyć trzeba, więc zwolna przypominać sobie zacznie, że jest człowiekiem bogatym. Zacznie więc szukać w końcu sposobu zbliżenia się do swoich, że zaś nie będzie czuł żadnego nad sobą nadzoru, więc się wkońcu zdradzi. Zaryzykuje jakiś czyn przełomowy, a wtedy... wystąpię ja z rozkazem aresztowania go w ręku.

— A jeżeli ci ucieknie zagranicę?

— I tam się za nim udam. Otrzymałem właśnie niedawno spadek po ciotce, niewielki domek z kawałkiem pola, wartości do dwunastu tysięcy franków. Sprzedam to i podążę za nim, bo muszę na swoim postawić. Ten człowiek mnie zdeptał, wtłoczył w ziemię, mnie, który się uważałem za tak silnego! Musi więc i mój dzień zaświtać.



Zdjęcie przedstawia dzieci króla Belgów — Leopolda: księżniczkę Józefinę — Karolinę i księcia Baldwina Alberta.

— A jeżeli ci się wyślizgnie z ręki?
Lekok roześmiał się tylko głośno.

— Niech spróbuje!... Głową za niego odpowiadam.

— Ha!... w takim razie spróbuję ci dopomóc w tych usiłowaniach. Zaczekaj tutaj na mnie chwilkę, póki się nie ubiorę, to wtedy towarzyszyć mi będziesz do pałacu Sprawiedliwości, gdzie się rozmówię z wyższemi władzami, czy sprawa ta jest do przeprowadzenia możliwa?

Po słowach tych wstał z łóżka i wyszedł do garderoby, by się wykąpać i ubrać, robił to jednak z takim pośpiechem, że nie upłynęło nawet dziesięciu minut, jak był do wyjścia gotowy.

Wyszedł wtedy do Lekoka i rzekł do niego krótko:

— Chodźmy.

Już mieli wsiadać do powozu, gdy zbliżył się do nich osobnik, wyglądający na lokaja z lepszego domu.

Na jego widok pan Segmuller zatrzymał się ze słowy:

— Ach to ty Janie? Cóż tam słychać nowego? Jak się tam twój pan miewa?

— Codzień lepiej, proszę jaśnie pana. Przysłał mnie właśnie z zapytaniem jak zdrowie wielmożnego pana i jak stoi sprawa?

— Stanęła na martwym punkcie, jak już o tem listownie twemu panu donosiłem. Kłaniaj się odemnie twemu panu i powiedz, że mnie na ulicy widziałeś, a więc już zdrowego.

Gdy powóz ruszył, pan Segmuller dał wyjaśnienie Lekokowi, iż był to służący pana d'Escorvala, który tak się zainteresował sprawą Maja, że co parę dni przysyła się dowiedzieć, jakie porobiła postępy i jakie jest postępowanie tajemniczego mordercy.

— Więc pan d'Escorval tak bardzo interesuje się tą zbrodnią? — zdziwił się Lekok.

— Ogromnie... i ja go rozumiem, bo przecież to on, nikt inny, rozpoczął badanie i pchnął odrazu śledztwo na właściwe tory.

Pan Segmuller, po przybyciu do Pałacu Sprawiedliwości, zajął się przeprowadzeniem pomysłu Lekoka tak gorliwie, iż pozyskał on w zasadzie aprobatę prokuratorji. Pozostawało jedynie opracowanie szczegółów, o wyznaczenie dnia, co nie mogło być przeprowadzone tak bardzo znów szybko.

W międzyczasie wdowa Szupe została uwolniona z więzienia warunkowo, z zobowiązaniem się, iż się stawi na każde wezwanie sądu, zaś Polita skazano, ku jego wielkiemu oburzeniu, aż na trzynaście miesięcy obostrzonego więzienia.

— Za zwykłą kradzież! — opowiadał każdemu z goryczą.

Pan Segmuller, znużony „sprawą Maja" i rozstrojony nią nerwowo, poprosił o urlop i całe dnie spędzał w domu, do tego stopnia czuł potrzebę odpoczynku.

Pewnego dnia siedział sobie z interesującą książką przy kominku, gdy powiadomiono go o przybyciu lokaja, przesłanego przez kantor stręczeń na miejsce dawnego służącego, z którym musiał się rozstać, z przyczyny iż ten odziedziczył na wsi jakiś spadek.

Przybyły kandydat na posadę mógł mieć lat około czterdziestu, bardzo czerwony na twarzy z gęstą czupryną i bogatemi rudemi faworytami; słusznego wzrostu, miał postawę byłego wojskowego.

Wyjaśnił tonem służbisty, językiem poprawnym, lecz z silnym akcentem normandskim, iż w czasie całej swej dwudziestoletniej pracy miał tylko dwie służby, jedną u lekarza, zaś drugą u bardzo wziętego adwokata, zna swój zawód i umie okurzać papiery, nie robiąc w nich nieporządku.

Mówił tak przekonywująco i wyglądał tak poczciwie, że pan Segmuller nie namyślając się dłużej dał mu luidora zadatku, zostawiając sobie jedynie dwadzieścia cztery godziny do namysłu, a raczej, by przez ten czas mieć możność sprawdzenia świadectw.

Ale lokaj, po pełnym grzeczności i wdzięczności ukłonie, zmienił odrazu głos, ton i postawę, a wybuchając śmiechem zawołał:

— No, teraz pan sędzia już się zapewne mniej obawiać będzie, iż mnie pan Maj tak odrazu pozna?

— Co?... to ty Lekoku?...

— Do usług pana sędziego. Przyszedłem mu powiedzieć, iż dzień jutrzejszy został wyznaczony na ucieczkę Maja.

XXXIV.

Sposobność ucieczki miała być dana Majowi w ten sposób, iż miano go zamknąć w przedniej części powozu, przy translokacji do innego więzienia, zapominając jednocześnie o zamknięciu części tylnej. Nie można było wątpić, iż Maj nie omieszka wykorzystać tej okoliczności i czmychnie przy pierwszej sprzyjającej sposobności, to jest wtedy, gdy powóz się zatrzyma.

Wszystko było ułożone i przygotowane zgóry, według planu Lekoka. Ucieczka była wyznaczona na poniedziałek po dniu Wielkiej Nocy, to znaczy na dzień poświąteczny, gdy we wszystkich umysłach tkwią jeszcze resztki świątecznej zabawy i zmęczenia.

Rozkaz wyprowadzenia był dany dozorcy z instrukcjami jak najbardziej szczegółowemi.

Powóz celkowy miał przybyć do więzienia około południa, jednak już około godziny dziewiątej rano kręcił się dookoła Pałacu Sprawiedliwości jeden z tych typowych ulicznik(ów) paryskich, których w stolicy świata na każdym kroku pełno. Był on przyodziany w ciąbłuzę bawełnianą, ciemno szafirowej barwy, na nogach miał spodnie jasno zielonego ongiś koloru. Obecnie — tylko brudne i aż do kolan obłocone. Obuty był w lakierowane wprawdzie pantofle, które pożegnały się jednak z posadzkami salonów od bardzo dawna, a teraz w sposób nader smutny mówiły o tej świetnej a bezpowrotnie minionej przeszłości. Oberwana czapka i czerwony szalik luźnie zawiązany na szyi dopełniały stroju. Ten ostatni szczegół toalety, bądź co bądź — luksusowy,„ zdawał się być podarunkiem miłosnym bohdanki. Smutny ten okaz współczesnej cywilizacji i kultury wielkich miast miał zżółkłą twarz i rzetelnie podsiniałe oczy. Czerwonawe włosy były przylepione do skroni, a z tyłu przycięte równo i wysoko, jakby dla oszczędzenia pracy katowi.

Była to połowa kwietnia, zieleniejące wierzchołki kasztanów w Tuillierie kąpały się w słońcu. Było ciepło i pachniało wiosną, to też łotrzyk leniwie przeciągał się w słonecznych blaskach, był szczęśliwy, — bo nic nie robił, nie miał nic do roboty.

Chodził wzdłuż i wszerz po placu Horlogie, rzucając tylko od niechcenia wzrokiem to na przechodniów, to znów na robotników, wydobywających piasek z dna Sekwany.

Niekiedy przechodził na drugą stronę ulicy, wdając się w rozmowę z przechodniami, zwłaszcza z jakimś starym i poważnym jegomościem, w okularach, z długą brodą, wyglądającym na małego kapitalistę, zajmującym się kupnem i sprzedażą tańszej biżuterji.

Gdy dochodził do nich jakiś ajent publicznego bezpieczeństwa — zaczepiali go nieodmiennie, a gdy ten, po chwili rozmowy, oddalał się od nich — głośnem wybuchali śmiechem, mówiąc do siebie:

— Paradne!... I ten również dał się złapać.

I mieli prawo śmiać się serdecznie, minęło ich bowiem ajentów do czterdziestu, a żaden z nich nie poznał, że ma do czynienia z kolegami: Lekokiem i Nalewajką.

Próby te wlewały w serce Lekoka otuchę.

— Jeżeli ci wszyscy, dobrzy znajomi i koledzy nie poznali nas — mówił do siebie — to i Maj nie pozna nas również.

Tak minął im czas do południa, t. j. do chwili, gdy baczny wzrok Lekoka dojrzał na moście Change powóz więzienny, wyciągniętym pędzący kłusem.

— Baczność, stary — zawołał wtedy do swego towarzysza — wiozą nam naszą zwierzynę, za którą niezadługo gonić będziemy. Ruszaj więc na miejsce i wytrzeszczaj dobrze oczy.

Ojciec Nalewajka zaczął wobec tego studjować pilnie jakiś afisz na pobliskiej latarni nalepiony, zaś Lekok pochwycił zapomnianą łopatę i zaczął nią gorliwie przesypywać piasek.

Czas już był na porobienie tych przedwstępnych przygotowań, ponieważ w chwilę potem na plac wpadło ruchome więzienie i zatrzymało się pod zaciemnionym portalem. Strażnicy wtedy, pewni iż z zamkniętych celek więźniowie nie uciekną im przecież, spokojnie udali się do wnętrza gmachu, ażeby zawiadomić kogo należało, o swem przybyciu i złożyć raport.

Lekok zamarł wtedy w oczekiwaniu, upłynęło jednak z dziesięć minut, a Maj się nie ukazywał.

Przez spory szmat czasu łek, iż nic z tego nie będzie, stał się fizycznym bólem prawie, lecz wkońcu drzwiczki się uchyliły i ukazała się w nich twarz upiornie blada. Była to twarz Maja. Szybkim rzutem oka rzucił dookoła siebie, a gdy ujrzał, iż w bramie nikogo niema, wyskoczył jak kot cicho i zręcznie na ziemię, a następnie wolnym krokiem, jak ktoś, któremu najzupełniej się nie spieszy, wydostał się na ulicę, kierując swe kroki w stronę mostu Change.

XXXV.

Lekok odetchnął. A tak bezmiernie już się lękał, by jakaś drobna przeszkoda nie pokrzyżowała jego planów. Bał się przedewszystkiem, by więzień tajemniczy nie odrzucił zdradliwej wolności, którą mu ofiarowano.

Próżne obawy! Bo oto wymykał się lekkomyślnie, aczkolwiek po dłuższych namysłach dopiero. Przyjmował walkę. Lekok skupił się w sobie. Teraz więc pójdzie pomiędzy nim na życie i na śmierć. Samotni, uderzą pierś o pierś. Mieli jednakie teraz szanse. On miał wprawdzie do pomocy Nalewajkę, lecz któż zaręczy,. że Maj nie zdoła się połączyć z tajemniczym swym wspólnikiem?

Był to więc prawdziwy pojedynek, wynik którego był zależny od subjektywnej odwagi, zręczności i dzielności przeciwników.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

W TAKĄ NOC...

„Słodkiej Psyche" — *poświęcam.*

Na krwawych zorzach zapadł zwolna mrok;
martwa, posępna cisza wkoło leży.
Z dala słyszę, jakby, czyjś tajemny krok...
i jęk zegara na samotnej wieży.

Skrada się ku mnie — nieutulona
w żalu... noc ciemna, w łzach deszczu skąpana.
Wyciąga — bez słów — swe mokre ramiona,
i kładzie na mem sercu skołatanem.

Za cieniem chmur, płynących kaskadą, —
mknie jakieś widmo, o mglistym konturze —
to księżyc — wychyla swą twarz trupio-bladą...
i wystraszony, — rozpływa się w chmurze.

W tej ciemnej, zda się, bez dna otchłani —
płyną czyjeś skargi... jakieś westchnienia.
Upiorne duchy błądzą z krańca w kraniec...
— wstają z popiołów zgasłych marzeń cienie.

W taką noc letnią, bezgwiezdną, czarną,
dżdżystą — jak upiór — potwornie oślizłą —
snuje gdzieś... ktoś — wspomnień nić koszmarną,
czyjeś serce łka... krwawi dawną blizną.

W taką noc — cicho — jak szept kochanki,
opadają złoto-martwe płatki róż...
Żal im przekwitać... żal krótkiej sielanki,
zgasłych dni życia — wśród słońca... i burz.

W taką noc ciemną, do łez spłakaną —
bezbrzeżny smutek włóczy się — bez końca...
Ktoś... morze wspomnień przelewa do rana,
żałuje kwiatów... i wzdycha do słońca.

W taką noc — czasem — gdzieś... w opuszczeniu
ktoś... za kimś tęskni — może płacze skrycie...
Każda kropla deszczu, jest dniem minionym —
a cała noc taka — czyimś smutnem życiem.

„Biały Murzyn."

NIE OTRZYMAŁAM

„Rekin." Serdecznie dziękuję za przesłanie mi długiego listu i fotografji. Pisze Pan, że wysłał do mnie w ubiegłym roku list z fotografją i nie otrzymał na niego odpowiedzi. Zapewniam Pana, że przesyłki tej nie otrzymałam, gdyż inaczej pisałabym coś o tem w „Krainie", zresztą listy moich Sympatyków nie pomijam nigdy milczeniem.

Załączony list przekazałam. Zapewnie odpowiedź na niego już Pan otrzymał, no i sądzę, że sprawiła dużo zadowolenia?

W LETNIE NOCE

W cichuteńkie, letnie noce,
Kiedy miljon gwiazd migoce,
Kiedy jasna, złotolica,
Lśni na niebie tarcz księżyca,
Cicho z zapartym oddechem,
Z słodkim na ustach uśmiechem,
Pod twoją podążam strzechę
Słuchać twych pieśni.

Staję pod oknem w ogrodzie,
Niepostrzeżony, jak złodziej.
Widzę w księżyca poświacie
Drzew pochylone postacie,
A pod twem oknem, przy murze,
Bluszcz pnie się zwolna ku górze
I rosną pachnące róże,
Białe - czerwone.

Ogród w barw morzu się mieni,
Nie widać wcale zieleni.
Znowu jak dawniej przed laty,
Kwitną drzewa, krzewy, kwiaty,
Wszystko w barwach tęczy tonie,
Cudne unoszą się wonie,
A serce z radości płonie,
Gdy patrzę na to.

Słowik znowu w cieniu drzewa,
Cudną, rzewną piosnkę śpiewa,
Tam las szepce bez spocznienia
Swe odwieczne, ciche pienia,
A znów zdala, słychać zboku
Cichuteńki szum potoku,
Wszystko pełne jest uroku,
krasy i czaru.

Gołaszewo, w lipcu 1935 r.

„Ord-Om."

JESZCZE JEDEN

„Kazik." Jeszcze jeden Czytelnik „Moich Powieści" zaciąga się w poczet członków naszej licznej „Rodziny." Oto co pisze o sobie:

„Przybrane imię moje „Kazik". Jestem kupcem, podobno miłym, wesołym i przystojnym chłopczykiem. Lubię wszystko co dobre, piękne i szlachetne. Pragnę za pośrednictwem „Krainy Szczerości" nawiązać nić przyjaźni z Czytelniczką o podobnych zaletach, którą chętnie nauczę zjadać pomarańcza i czekoladki. Odpowiem na każdy liścik, który będzie zawierał dokładny adres nadawcy."

„Wilcza Jagoda."

„BURZA"

Nadeszła noc ciemna i parna, po gwarze skwarnego dnia,
Pełnią nieznanych tajemnic przejmując duszę do dna.
Więc idę wśród mroku do parku, między szpalery drzew,
Powietrze duszne złowrogie, w oddali brzmi tęskny śpiew.

Lecz cisza ta była pozorną przed burzy szaloną grą,
Bo błyskawice zwiastuny zaczęły już walkę swą.
I burza poczęła szaleć gnąć drzewa, aż do mych nóg,
Stałam w zamarłej postawie, tak mnie ten żywioł zmógł.

Me oczy rozwarte w zachwycie, myśli szalony bieg,
Zdawało mi się, że orgja ta trwać będzie przez cały wiek.
Deszczu strumienie ulewne, padały w koło mnie,
Wiatr targał mą szatą powiewną — ja byłam, jak posąg w śnie.

Gdy dusza ocknęła się wreszcie, drętwota opadła już z niej.
Burza kończyła swój taniec, słabła potęga już jej...
Nie wiem, jak długo to trwało, całą noc czy też nie,
Było szarawo na niebie, park cały spoczywał w śnie.

Wolnym, znużonym krokiem, podeszłam do domu drzwi,
Wtem w górze, słowik maleńki, piosnkę zanucił mi.
Zanucił mi o potędze, o burzy wielkiej grze,
O cichym moim parku, spoczywającym w śnie.

O cudach tego świata, o życia trudnej grze,
Gdzie ludzkość walczy z bytem, targając siły swe,
I naraz urwał piosnkę i wzleciał hyżo w dal,
Zrozumiał, że swą piosnką w duszę mą rzucił żal.

„Stella Maris."

NIE MARTW SIĘ

„Sabcia z nad Brdy." Za długi i szczery list dziękuję Ci, Kochana Dziewczynko, serdecznie. Proszę, nie martw się tem co było — minęło, przeszło — niech to wystarczy, zaś doświadczenie nauczyło Cię przynajmniej nie polegać na zdaniu osób, cieszących się małem zaufaniem. Pamiętaj zresztą, że po smutkach przychodzą zawsze jasne dni więc i Ty odzyskasz znowu pogodę, poczujesz się szczęśliwą.

Bardzo bym się cieszyła, gdyby ktoś z „Krainy" o dobrem i współczującem serduszku nawiązał z Tobą bliższy kontakt, by w serdecznych i szczerych słowach zachęcał Cię do walki z niepowodzeniami i uczył żyć pogodnie.

Uściski i pozdrowienia odwzajemniam i przyrzekam Ci „Sabciu", o ile jakiś liścik dla Ciebie nadejdzie, przesłać go natychmiast.

NADZIEJO!

Nadziejo miła, lecz okrutna,
Co w sercu moim się budzisz,
Gdy jestem znękana i smutna,
Ty blaskiem szczęścia mnie łudzisz.

Lecz szczęście — blask twojej ułudy,
Pryska, jak bańka mydlana —
Wracają męki i trudy,
Nadzieja to, fata morgana.

Nadziejo okrutna, lecz miła,
Ty życia mego ozdobo,
Tyleś mnie razy zdradziła,
Ja jednak, tęsknię za tobą.

PRAGNIENIE

„Morenita." Liścik Pani oddaję do druku. Mam nadzieję, że proste serdeczne jego słowa przemówią do niejednego serca i zmuszą je do nawiązania kontaktu z Panią:

„Droga Pani Zosieńko! Po długiem wahaniu zdecydowałam się napisać do Pani, a to dlatego, że Pani jest taką dobrą i kochaną od wszystkich. Jestem stałą czytelniczką „Moich Powieści" i bardzo mi się one podobają, a w szczególności „Krainę szczerości." Przez „Krainę" można poznać dusze szlachetne. Naprawdę należy się Pani ogromne uznanie. Kącik „Szczerości".... jest to tak delikatna, a zarazem słodka nić... jaką Pani wije i nawiązuje w swei „rodzince", że mimowoli chwyta za serce i trzeba za tą słodycz Jej... Panią pokochać.

Mam tylko jedno wielkie pragnienie, by Kochana Pani samotną dziewczynkę przyjęła do Siebie i raczyła powiększyć nią milutką „Rodzinkę." Jestem wysoką szczupłą blondynką o oczach niebieskich, marzących pełnych bezgranicznej tęsknoty.

Za czem tęsknią oczy moje? serce moje? — Za duszą czystą, prawą i szlachetną.

Zosieńko! Pomóż mi znaleźć podobną duszę.

Przesyłam milutkie pozdrowienia dla „Smutnego Flora" i „Wilka z Polesia" oraz całej „Rodzince."

„Morenita."

„NA KAŻDY LIST ODPOWIEMY"

„Ognista Kula" i Śnieżna Kula." Miłe słowa Pań przeczytałam z radością. Jestem zadowolona, że sprawiłam Paniom tyle szczęścia z powodu przyjęcia do „Krainy." Część liściku oddaję do druku:

„Mieszkamy w bardzo maleńkiem miasteczku, gdzie upływa nam życie bardzo monotonnie, jednem słowem niema tu dla nas odpowiedniego towarzystwa. Dlatego chciałyśmy za pośrednictwem Pani drogą korespondencji znaleźć jakąś bratnią duszę. Na każdy list przyrzekamy odpowiedzieć, bo same wiemy, co to znaczy doznać zawodu. Chciałybyśmy żeby nas ktoś rozweselił, bo tyle jest dusz jasnych i wesołych w „Krainie", a wtedy będziemy mogły napisać do Pani coś więcej i podzielić się naszą radością i zadowoleniem."

CZYN

Gdy się w przestrzeni spotkamy, oboje,
Cisza gwiazd jasnych nad nami zalegnie,
Dasz mi swe serce i ja ci dam swoje,
I myśl złączona daleko pobiegnie.

Kiedy się duch mój już z twoim zrozumie
Wykrzesze z głazu wielką siłę czynu,
By gnuśność, słabość, panująca w tłumie
Nam nie ciężyła bardzo wielką winą.

I codzień rychło w złotawym dnia brzasku
Pójdziemy dłońmi zorywać ugory,
Trwale — o słocie i o słońca blasku,
By pracę skończyć do wytkniętej pory.

Wgłębimy palce aż do wnętrza ziemi,
Wydrzemy na wierzch lawiny płonące,
By serca zimne obcując wciąż z niemi,
Stały się znowu krwią żywą tętniące.

A gdy nadejdzie kres naszej roboty,
I wszystkie ludy jedność, miłość zbrata,
Wspólna mogiła wśród słońca lub słoty
— To będzie dla nas za czyny zapłata.

Maryla Wawrzyńczakówna.

NAJLEPIEJ OSOBIŚCIE

„Czerwona Różyczka.“ Sądzę, że najlepiej będzie, gdy Pani osobiście zwróci się do wymienionego w liście Sympatyka o zwrot fotografji. Podany apel na łamach „Krainy“ byłby niemiły.

Pozdrowienia załączone przez Panią dla „Jasnego Myśliciela“ — przesyłam i zapytuję, czy nie zechciałby do Pani skreślić kilku słów?

Łączę serdeczne pozdrowienia.

„SZATYN E. S.“ PRAGNIE KORESPONDOWAĆ

„Szatyn E. S.“ pisze, że jest wysokim, szczupłym szatynem. Pracuje w większym mieście na Pomorzu. Chciałby bardzo korespondować z kimś z „Rodzinki.“ Specjalne pozdrowienie przesyła „Poważnej Brunetce“ i zapytuje, czy nie zechciałaby skreślić do Niego parę słów?

A teraz dziękuję serdecznie za przesłane pozdrowienia i odwzajemniam je w pełni.

POZDROWIENIA

„Mamusina Córuś“, młodziutka i miła Pomorzanka czyta już rok z zainteresowaniem „Moje Powieści“, jednakże dopiero teraz zdecydowała się napisać kilka słów do „Krainy“. Marzy o tem, by w czasie wakacji nawiązać korespondencję z kimś z „Krainy“.

Szczególnie zaabsorbował Ją pseudonim „Blondynek w mundurze“, nie ma jednak odwagi pierwsza do Niego napisać. Przesyła również pozdrowienia swej koleżance „Perskiemu Oczku“ i zapytuje, czy podoba Jej się życie w mieście i czy prowadzi korespondencję z Sympatyczkami i Sympatykami „Krainy“. Osobne pozdrowienia łączy dla „Wesołej Andziulki“ i całej „Rodzinki.“

ZE ZLOTU HARCERSTWA

„Bajka“ przesłała mi ze Zlotu Harcerstwa w Spale pocztówkę następującej treści:

„Pani Zosieńce, Wujkowi Januszowi, oraz całej „Rodzince“ przesyła bardzo serdeczne pozdrowienia z Jubileuszowego Zlotu Harcerstwa Polskiego w Spale — „Bajka.“

Ślicznie dziękuję Pani za pamięć w imieniu wszystkich Sympatyków, Wujka Janusza i swojem, prosząc równocześnie o podzielenie się z nami i wrażeniami, wywiezionemi ze Spały.

LISTY PRZEKAZAŁAM

„Nieznany.“ Listy przekazałam po otrzymaniu adresu. Sądzę, że tym razem je Pan odebrał i zdążył już na nie dać odpowiedź nadawcom, którzy tak długo musieli czekać na odzew ze strony Pana.

PROSZĘ PAMIĘTAĆ!

„Dzinka.“ W dzisiejszym numerze daję odpowiedź na słowa, zawarte w bileciku: Kochanie! Myślę zawsze o Tobie jak najlepiej. Proszę porzucić wszelkie niedorzeczne podejrzenia i pamiętaj, że „Dzinkę“ zawsze darzę sympatją, a Jej śliczne wierszyki czytam jak najchętniej. **Łączę dużo uścisków i pozdrowień.**

A MOŻE?...

„Herszt.“ Listy wysłałam. Jednakże i ja nie wiem dlaczego nie odpowiedziały Panu: „Emira“ i „Odrobina szczęścia“. A może wymienione Panie dały odpowiedź w międzyczasie?

Za słowa, pełne życzliwości i serdeczności — dziękuję z całego serca. Przesyłam moc szczerych pozdrowień i proszę o dalszą pamięć.

NAJWAŻNIEJSZE

„Pomorzanka z Borów Tucholskich.“ Po otrzymaniu listu, zrozumiałam, dlaczego Pani tak długo nie nadsyłała swego adresu — była Pani chora i nie czytała apelu w „Krainie“. Najważniejsze jednak, że liścik już obecnie Pani odebrała, no i dała na niego odpowiedź. Tak przynajmniej sądzę!? Przesyłam dużo, dużo pozdrowień.

WYŚLĘ!

„Irek.“ Dobrze! Liścik wyślę... ale po otrzymaniu adresu od „Boginki.“ Serdecznie pozdrawiam.

„CZY LIST ZACHĘCI DO DYSKUSJI“?

„Leśna Rusałka.“ Psychologiczne rozważania Pani zapewnie niejedną i niejednego zaciekawią, a także zachęcą do dyskusyj, dlatego list Pani przedrukowuję, myśląc, że nie weźmie mi Pani tego za złe?:

„Kochana Pani Zosieńko! Ogromnie jestem Pani Kochanej zobowiązana za to, że mogę uważać Ją za swą przyjaciółkę, korzystam z tego bardzo chętnie, bo dar przyjaźni cenię więcej niż miłość, do przyjaźni bowiem zdolne są tylko charaktery silne i wzniosłe, gdy, tymczasem do miłości każde serce jest usposobione. A teraz coś niecoś z ABC, obracam się obecnie w środowisku, gdzie ścierają się różne elementa, gdzie ból i zawody życiowe codziennem są zjawiskiem, choć i radość też czasem zagości. Posiadam trochę zdolności krytycyzmu, opieram się li tylko na zdaniu własnem i obserwuję. Zajmuje mnie również psychologja, to też często wglądam w jej tajniki i specjalnie w tym kierunku uczę się, oczywiście sama. Pomimo młodego wieku (lat 22) trochę dużo, a może i za dużo życie mnie oszlifowało, złożyły się na to okoliczności różne, nie mam jednakże powodu uskarżać się na nie, ponieważ twierdzę, że prędzej poznanie prowadzi do mądrości i szybszego ustalenia się kierunku myślowego. Życie mnie nie oszczędzało, w 2-im roku życia straciłam ojca, w 12-ym matkę, którą kochałam nad życie. Pierwszej głębokiej, szlachetnej miłości dla celów wyższych wyrzec się musiałam, choć zapomnieć nie zdołam nigdy. Wogóle życie to barwna księga, różnemi głoskami pisana. Przy tem wszystkiem jestem optymistką i nie winię nikogo, bo na to nie pozwoli mi wiara i głęboka miłość do Maryi. Na ustach moich stale gości uśmiech, który stanowi drugą moją naturę, mniejsza, co on czasem wyraża. Płakać nie skarżyć się przed nikim nie umiem, bo na to jestem za dumną. Ogromnie wrażliwą posiadam duszę i przez to dużo cierpieć muszę wewnętrznie. Nie wątpię, że dużo jest dobrych ludzi na świecie, podobno w każdym człowieku jest cząstka dobrego, lecz warunki życiowe, otoczenia, wpływy etc. zagłuszają często to, co jest dobre, opinja potępia daną osobę, zniechęca do walki nad skłonnościami i stąd powstają ci, wzięci poza nawias społeczeństwa. Czemuż tyle piszą o tem, a niema nikogo ktoby zajął się odrodzeniem duszy ludzkiej? Czytając „Krainę szczerości“ widzi się, że wszyscy posiadają dobre strony charakteru. Rozgadałam się w najlepsze, a wiem, że drogiej Pani każda minuta jest nieoceniona, lecz tak dobrze się gwarzy. Jestem od 6 lat wychowanką Sióstr Miłosierdzia, obecnie już pracuję samodzielnie jako urzędniczka w kancelarji Sióstr. Ogród Zakładowy jest prześliczny, posiada tak piękne zakątki, że koją najgłębsze rany duszy. Postaram się Kochanej Pani przesłać zdjęcie natury. Teraz, gdy drzewa w pełnym stoją rozkwicie, jak tu cudnie...

Jeśli Pani kochana pozwoli mi od czasu do czasu otworzyć przed Nią głąb mej duszy, sprawi mi tem wielką przyjemność. Jedną mam koleżankę, Hilda jej imię, jest to osoba godna przyjaźni, to też ja, która tak mało ufam ludziom, jej wierzę bezgranicznie. Wogóle ludzi wartościowych ogromnie cenię. „Moje Powieści“ stanowią miłą rozrywkę dla mnie i pomimo krótkiego czasu zżyłam się z nimi bardzo.

Łączę dla Pani wyrazy szacunku oraz **serdeczne pozdrowienia, również dla Wujka Janusza“.**

APEL

„Czytelniczka z Poznańskiego.“ Cieszę się, że po parotygodniowej przerwie napisała Pani znowu do mnie i w dodatku tak miło i obszernie.

Po przeczytaniu tych serdecznych słów, daję Pani zaraz odpowiedź, no i zgodnie z życzeniem apel do poważnych Czytelników „Moich Powieści“, aby, któryś z nich, rozporządzający wolnym czasem, skreślił kilka słów do „Czytelniczki z Poznańskiego“, której chodzi o kulturalną i miłą rozrywkę, — a więc o interesującą korespondencję. Specjalne pozdrowienia przesyła dla „Mickey Mouse“ i J. Piaseckiego z Ostrowa.

Teczka Wujka Janusza

TYLKO RAZ...

Tylko raz jeden, przez mgieł osłonę,
Błysło mi szczęście tuż!
Teraz odeszło to upragnione
I nie powróci mi już!!!

Raz jeden tylko mi się zdawało,
Że szczęście trzymam w swej mocy...
Cóż ze złudzenia mi pozostało?
Ot! błądzę dalej w ponurej nocy!

Raz jeden tylko to szczęście przeszło
Tak blisko bliziuchno mnie,
Po macoszemu zemną się obeszło,
Że teraz całkiem już wątpię w nie!

Tylko raz serce było szczęśliwe,
Wówczas, gdy białe kwitły bzy,
Dziś — szczęście zabrał chochlik złośliwy,
A mnie zostały wspomnienia i łzy...

„Zbłąkana Gwiazda.“

MOJA PIOSENKA

Leć moja piosnko tęskna i zwiewna
Poprzez szumiących zbóż łany,
I płyń po rosie jak skarga rzewna
Do stóp dziewczyny kochanej.

Szepnij jej, piosnko, cicho do uszka,
Choć to dziewczyna jest płocha,
By się spytała swego serduszka,
Czy ono umie pokochać.

Powiedz jej, piosnko, odemnie, powiedz,
Że nie jest obojętną mi,
Że ją pokochał samotny chłopiec
I teraz o niej tylko śni.

Zdradź jej piosenko mą tajemnicę,
I w dani złóż jej me serce —
A gdy się szczęściem spłonią jej lice,
Wróć do mnie. — Czekam w rozterce...

„Złoty Promyk.“

NAPRÓŻNO

Napróżno tęskniłem za Tobą wciąż skrycie,
Głuche, daremne były me sny, —
Dziś pasmo cierpień wchłonęło już życie —
Zostały tylko tęsknota i łzy.

Daremnie tęskniłem w me noce bezsenne,
Gdy sen z mych powiek daleko uciekał,
Myśląc, że przyjdziesz cicho, promiennie,
Z wzrokiem któryby w serce me wnikał.

Lecz próżne były me sny, marzenia,
Bo wszystko pierzchło jak złudny sen,
Dziś życia mi nie opromieniasz —
Zasnuł je nowy cierpienia cień.

Kazimierz Ruliński.

NIE WYSTARCZY

„Smutna Haneczka.“ Wierszyków Pani, pomimo najszczerszych chęci zamieścić nie mogę, gdyż są za słabe. Chcąc napisać wiersz, nie wystarczy zamknąć w słowach tylko swoje uczucia i wrażenia, trzeba pamiętać i o stronie technicznej — o stylu, o rytmie. U Pani i jedno i drugie szwankuje. Może Pani spróbuje swoje wierszyki ulepszyć, wygładzić — a umieszczę z największą chęcią. Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia i zachętę do dalszej pracy

WIERSZE DOBRE

„Ord-Om.“ Przesyłką Pana ucieszyłem się niezmiernie. Dawno już Pan nie pisał i nie dawał znaku o sobie, nawet już miałem obawę, że talent Pana urządził sobie bezterminowe wakacje. Wierszyki — dobre, jak zwykle. Możeby Pan coś napisał na okładkę? Warunek: byle wiersz nie był za smutny. Czy zgadza się Pan?

Na zakończenie ściskam serdecznie dłoń mego Przyjaciela i mam nadzieję, że tym razem nie będę potrzebował zbyt długo czekać na wiadomości od Niego?

Raj kobiet



75783 75779 75780 75781

Toalety ślubne

75 783 Efektowna sukienka dla młodej pani z chiffon'u. Górna część stanika jest odszyta w zakładki. Tak samo dolne falbany. Rękawy można odejmować.

75 779. Sukienka dla druchny z jedwabiu w pastelowym kolorze. Elegancję jej podnoszą wolanty i żywe kwiaty przypięte do dekoltu.

75 780. Imponujący model ślubnej sukienki z georgetty z plisowanemi wolantami, poszerzonemi u dołu.

75 781 Dystyngowana i piękna w swej prostocie sukienka dla młodej pani z crepe satine. Rękaw prosty, u góry suto przymarszczony. Wzory powyższe (Vobacha) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,90 zł.

Uśmiech dziecka i babci

zwyciężyły na konkursie

Jeden z miesięczników londyńskich rozpisał niedawno konkurs na najpiękniejszy uśmiech kobiecy.

Konkurs znalazł wśród czytelników miesięcznika szeroki odgłos. Do redakcji napłynęło kilka tysięcy różnych fotografij, przedstawiających młode, starsze a nawet siwowłose panie, roześmiane lub uśmiechnięte.

Jury konkursu miało nielada kłopot z wybraniem kandydatki do nagrody.

Spośród nadesłanych fotografij musiano przedewszystkiem wyeliminować twarze zbyt roześmiane. Jak oświadczył jeden z członków jury, wiele kobiet umie się śmiać, rzadko która natomiast umie się uśmiechać.

Następnie odrzucono fotografje, na których uśmiech był chłodny, wyniosły, ironiczny, chodziło bowiem o premjowanie uśmiechu dobrotliwego. Odpadły więc wszystkie artystki i aktorki filmowe, które miały uśmiech wystylizowany, nieposiadający cech naturalnych i pozbawiony ciepła, płynącego z dobroci.

Pozostały jedynie fotografje młodych zupełnie panienek i babci. Pierwszą nagrodę uzyskał uśmiech dziecka. Otrzymała ją pewna dziesięcioletnia dziewczynka.

Drugą i trzecią nagrodę przyznano babciom, których uśmiech promieniował wewnętrzną pogodą i dobrocią, wypływającą ze zrozumienia życia.

RADY PRAKTYCZNE

Bluzki oraz suknie z organdji nie potrzebują krochmalenia, wystarczy do ostatniej wody do plókania dodać sporą garść soli i prasować organdję na mokro. Sól daje materji tej właściwą sztywność.

—o—

Po zakończeniu prania bielizny należy przepuścić przez wyżymaczkę suchy ręcznik turecki, celem osuszenia wałków, gdyż guma w wilgoci niszczy się.

ŚWIAT I ŻYCIE

Wśród swoich na Bukowinie

Sołoniec jest największą wsią polską na Bukowinie, liczącą około 300 rodzin, t. j. 1.700 dusz, wsią niemal całkowicie zamieszkałą przez przybyłych tu przed laty z Polski górali. Kiedy z sąsiednich, wyniosłych wzgórz patrzy się na rozrzuconą w dole wioskę, widzi się wyraźnie jej trzy ulice, trzy wachlarzowato rozrzucone ramiona, z których jedno to Maidan, z osiadłemi tam paru rodzinami ruskiemi, drugie rozciąga się wzdłuż drogi prowadzącej do pobliskiej Kaczyki, trzecie zaś pnie się ku górze, ku położonej znacznie wyżej, również polskiej Pleszy. Tam, gdzie się te trzy ulice zbiegają, na niewielkim placyku, stanął przed kilkoma laty Dom Polski, zbudowany siłami wszystkich mieszkańców wsi, który początkowo służył również jako lokal dla szkoły polskiej. Ten dom polski to jakby symbol tego, że Sołoniec jest osadą polską, symbol polskości jej mieszkańców.

Wieś posiada spory szmat wspólnego, gromadzkiego lasu. Praca w leśie nie jest lekka. Zarobki też są średnie. Za całodzienną, wyczerpującą pracę, przy wyrębie lasów Funduszu Kościelnego, otrzymuje dorosły mężczyzna trzydzieści, przy większym wysiłku czterdzieści lei.

Nie jest łatwem życie polskiego górala na Bukowinie, o nie. Ale mimo to daje on sobie jakoś radę. Podróżnego wjeżdżającego do wsi mile uderzają schludne, czyste obejścia wiejskie, na których znać troskę o ich wygląd. Gdzieniegdzie trafia się ozdobniejszy domek zamożniejszego gospodarza, gdzieniegdzie prześwieca nowa dachówka i krokwie świeżo zbudowanego domu.

Dziatwa polska, to największa troska polskiego Sołońca. Bo w Sołońcu niema niestety polskiej szkoły. Dwa lata temu była, a teraz niema. Ludzie w Nowym Sołońcu proszą o polską szkołę, o wykłady języka ojczystego. Są lojalni wobec władz, stanowią element wartościowy dla Państwa, przywiązany do ziemi, na której osiedli, twórcy. Nie mogą zrozumieć dlaczego ich słuszne żądania nie są zaspokojone, dlaczego ich prośby i prośby Polskiego Związku Szkolnego pozostają bez przychylnego rozpatrzenia przez miarodajne czynniki szkolne. Ostatnio stwierdzili wobec rejenta z Solki własnoręcznemi podpisami, że są Polakami, że do polskości się poczuwają, że pragną gorąco, aby ich dzieci uczyły się ojczystej mowy.

Kto wątpiłby w polskość ludności w Nowym Sołońcu, niech rozpocznie rozmowę z pierwszym napotkanym człowiekiem... Ludzie mówią po polsku, często bezbłędnie, mniej nawet mając naleciałości obcych, niż ludzie w miastach gdzie łatwiej o obce wpływy. Czasem odezwie się w ich mowie jakieś typowo polskie, góralskie wyrażenie, świadcząc dobitnie o tem, że są oni bliskimi krewnymi tych spod Szczawnicy czy Zakopanego, jakieś „haw" czy „kiebyk".

Pozatem mają oni jeszcze jedną bolączkę. Dom Polski choć służy za miejsce niedzielnych zebrań, nie może się rozwijać, towarzystwo nie ma możliwości zebrania funduszów. Powodem tego są trudności uzyskania pozwolenia na urządzenie narodowego obchodu, czy zabawy, jakiejś imprezy, któraby pozwoliła zebrać parę lei na doraźne potrzeby, opłacenie podatków czy remont budynku. Stawia je trudności prefektura w Suszawie, miesiącami nie dając odpowiedzi na złożone podania.

Po dwudniowym pobycie w Sołońcu, wczesnym rankiem opuszczamy wieś. Konie z trudem wspinają się po wyboistej, chwilami bardzo stromej drodze do Pleszy. Z wyżyny patrzymy raz jeszcze na niknący w dole Nowy Sołoniec, kryjący się w zieleni drzew, przez które przeświecają strzechy chat. Chciałoby się pozostać dłużej w tym pięknym zakątku ziemi bukowieńskiej, obszerniej pogawędzić z ludźmi o ich troskach i kopotach. Opuszczamy jednak wioskę z uczuciem otuchy. Polskość napewno się tutaj utrzyma.

Co słychać w polityce?

Uwaga opinji publicznej skierowana jest znów **na Niemcy**, gdzie przygotowują się wypadki o doniosłem znaczeniu. Trzecia Rzesza weszła w fazę rozstrzygającą, walki o totalność państwa.

Na pierwszym odcinku tej walki znalazła się **sprawa katolicka.** Wszystko zdaje się wskazywać na to, że w Niemczech rozpoczął się **„kulturkampf“** który nie pozostanie bez wpływu na wewnętrzną spoistość Rzeszy. Walka ta znalazła w ub. tygodniu swe zaostrzenie nietylko na skutek wystąpień ministrów Rzeszy, wypowiadających się wyraźnie przeciwko udziałowi kościoła katolickiego w życiu politycznem, ale również wystąpienia kół katolickich, które nie mogą pozostawić bez odpowiedzi ataków skierowanych przeciwko Kościołowi.

W ubiegłą niedzielę **odczytano z ambon** wszystkich kościołów katolickich Rzeszy **artykuł „Osservatore Romano“** z dnia 15 lipca. Artykuł ten opublikowany został w dzienniku urzędowym Kurji Biskupiej i opatrzony wstępem, który wskazuje, że ostatnie deklaracje, dotyczące zagadnień, posiadających wielką wagę dla katolików niemieckich, a omawianych również w konkordacie, spowodowały odpowiedź „Osservatore Romano“, wyrażającą stanowisko najbardziej kompetentnych czynników Kościoła katolickiego.

Artykuł „Osservatore Romano“ w streszczeniu brzmi:

Katolicy niemieccy przeżywają ciężkie godziny, zmuszające ich do obrony dogmatów i etyki katolickiej. Położenie to jest nietylko niezgodne z deklaracją kanclerza, złożoną przy objęciu władzy, a zapowiadającą poszanowanie swobody wyznania katolickiego, lecz również stoi w sprzeczności z konkordatem. Miarodajne czynniki katolickie przypuszczały początkowo, że akcja przeciw Kościołowi prowadzona jest przez pewne znane elementy, szerzące hasła antychrześcijańskie, wśród których występuje także Rosenberg. Przypuszczano też, że rząd niemiecki stoi zdala od tej akcji, a tembardziej, że jej nie inspiruje. Obecnie jednak zaszły nowe wypadki, wskazujące na charakter urzędowy wrogich nastrojów.

„Osservatore Romano“ wskazuje tu na **wystąpienie ministra Fricka** 7 lipca w Monastyrze, który powołując się na konkordat mówił, że **katolicy niemieccy obowiązani są przyjąć ustawę sterylizacyjną.** Ustawa ta nie da się pogodzić z prawem Boskiem. Deklaracja ta wywołała silne zaniepokojenie, zwłaszcza sposobu powołania się na konkordat.

W dalszym ciągu wskazuje „Osservatore Romano“ na **naruszenie konkordatu** przez ograniczenia swobody działania związków katolickich oraz prasy katolickiej, dopuszczając jednocześnie do najostrzejszej propagandy prasowej, prowadzonej przez czynniki wrogie chrześcijaństwu.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 4. VIII. do 10. VIII. 1935 r.

Niedziela, dnia 4 sierpnia 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.00 Muzyka 10.15 Transmisja Nabożeństwa 12.03 Od źródeł Wisły do Czeremoszu 12 20 Poranek muzyczny 14.00 Tyle miłych wspomnień — muzyka lekka 15.00 Uwagi o rachunkowości rolniczej 15.10 Muzyka 15.22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Muzyka 15.45 Pogadanka dla gospodyń wiejskich 16.00 Koncert solistów 16.45 Postacie literackie żyją między nami — szkic literacki 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Transmisja z kolonji Młodzieży szkół średnich w Wielkiej Wsi 18.15 Ravel: Sonatina 18.30 Cała Polska śpiewa 18.45 Na granicy Prus Wschodnich 19.25 XVI Regaty Wiślańskie o Mistrzostwo Polski w Brdyujściu 19.50 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Komendant jako żołnierz i wódz 20.00 Koncert 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert 21.30 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 Nasza Marynarka gra 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 5 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka popularna 15.30 Koncert orkiestry wojskowej 73 p. p. 16.00 Audycja dla dzieci p. t. „Okręt przepływa równik“ 16.15 Koncert solistów 16.45 Odznaki za wierną służbę — fragment z pow. Andrzeja Struga 17.00 Muzyka lekka 17 40 Pieśni węgierskie w wyk. Emericha Pallo 18.00 Pogadanka Brunona Winawera 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Utwory na organy 19.30 Audycja żołnierska 19.50 Co czytać? 20.00 Transmisja fragmentu ze Zjazdu Legjonistów w Krakowie. Apel poległych Legjonistów 20.15 Skrzynka rolnicza 21.10 Koncert polskiej muzyki symfonicznej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.15 Pieśni rycerstwa polskiego 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 6 sierpnia 1935 r.

6 30 Audycja poranna 9.00 Transmisja fragmentu ze Zjazdu Legjonistów w Krakowie 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert orkiestry P. R. pod dyr. Stanisława Nawrota 13.00 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Zespół salonowy Pawła Rynasa 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Koncert w wyk. Józefa Gaczyńskiego (śpiew z Torunia) i Tadeusza Kowalskiego (wiolonczela — Warszawa) 16.50 Pierwsza rocznica — J. Kaden-Bandrowskiego 17.00 Tr. fragm. ze Zjazdu Legjonistów w Krakowie 18.00 W piasku wybrzeży — dr. Axel Stjerna 18.10 Minuta poezji: Wiersz Józefa Mączki 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Skrzynka techniczna 18.45 Muzyka 19.30 Polskie utwory fortepianowe w wyk. M. Bilińskiej 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Muzyka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Pierwsze dni wojska polskiego. Audycje słowno-muzyczne 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 7 sierpnia 1935 r.

6 30 Audycja poranna 12 05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka góralska 15.30 Koncert Zespołu Tadeusza Seredyńskiego 16.00 Pogadanka dla kobiet 16.15 Recital fortepianowy Leopolda Muenzera 16.50 Codzienny odcinek prozy: Fragment z noweli p. t. „Baśka Murmańska“ — E. Małaczewskiego 17.00 Najpiękniejsze walce 18.00 Wesoły skecz aktualny 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Listy od dzieci 18.45 Muzyka salonowa 19.30 Recital skrzypcowy Stefana Frenkla 19.50 Swiat się śmieje 20.00 Poznajmy przepisy finansowo-rolne 20.10 Audycja dla dzieci 20.45 Dziennik wieczorny 20.53 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 20 58 Planty krakowskie — reportaż z książęcego pałacu 21.10 Transmisja z Salzburga 22.00 Wiadomości sportowe 22.45 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 8 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Muzyka 15.30 Muzyka lekka 16.00 Pogadanka przyrodnicza dla dzieci p. t. „Sierpień na niebie i ziemi“ 16-50 Codzienny odcinek prozy „Gazeciarz“ 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 18.00 O książce inż. Feliksińskiego „Miasta i wsi“ — wygł. dr. Marjan Stępowski 18.10 Minuta poezji: Wiersz Felicji Kruszewskiej 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Dokąd jechać w święto 18.45 Muzyka w wyk. Londyńskiego Oktetu Squire'a 19.30 Lucienne Bayer i Pilar Arcos (piosenki) 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 20.10 Wesoła audycja 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 S. Rachmaninowa: Koncert fortepianowy c-moll w wyk. Jakóba Gimpla z tow. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Na śląskiem podwórku“ 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego.

Piątek, dnia 9 sierpnia 1935 r.

6 30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.00 Koncert Zespołu Mandolinistów 13 30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka wokalna 16.00 Zycie wód słodkich w lecie i w zimie 16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.35 Pogadanka dla chorych Michała Rękasa ze Lwowa. 16.50 „Rok 63“ — fragment z powieści J. Wołoszynowskiego 17.00 Erwin Lendwai: Kwintet na flet, obój, klarnet, waltornię i fagot, op. 23 17.25 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego 18.00 Przyrodnik na urlopie — reportaż 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka 19.30 Recital śpiewaczy Marji Karwowskiej 19.50 Aktualny monolog 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Reportaż muzyczny 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka salonowa 22.40 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 10 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Beethoven: Hammerklavier, Sonata B-dur 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert Zespołu Salonowego z Krakowa 14.30 Nowości z płyt 15.15 Muzyka 15.25 Nasz handel morski 15.30 Wesoła audycja dla dzieci (ze Lwowa) 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Pieśni w wykonaniu Marji Jarrowej (z Poznania) 16.30 Krótki koncert kameralny w wykonaniu Jana Przybojewskiego 16.50 „Zywe kamienie“ z powieści Wacława Berenta 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji — wiersz Jana Lechonia 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw — omówi prof. Henryk Mościcki 18.45 Muzyka 19.30 Nasze pieśni — odśpiewa Wiktor Bregy 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Wieczór Karola Namysłowskiego w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr. Stanisława Namysłowskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Swięto gór — koncert 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Wielkopolska w przekroju 22.30 Muzyka.

CHWILA ZASTANOWIENIA

METAMORFOZA

ul. W. G.

Nie przestawiając, zmieniać po jednej literze i przejść od słowa „turek“ do słowa „banan.“

T	u	r	e	k
B	a	n	a	n

SZARADA

ul. Witold Mataczyński, Łysinin

Pierwsza z wiosną po rzekach płynie,
Druga-trzecia pierwszej, trzecia, nieraz boli,
Druga pierwsza znajdziesz też w rybie.
Całość w tygodniku, co daleko słynie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 9 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 29 „Moich Powieści“: Wizytówki: Hannower, Christiania, Sardynia, Barcelona.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Witold Koszkowski — Tuchola, Izydor Porębski — Wadowice, Kazimierz Patoniewicz — Odolanów, Józefa Wiatrowska — Holończyce, Janina Płocharzówna — Katowice, Julja Schmittówna — Bydgoszcz, Mira Koczkówna — Radom, Zenon Sobczak — Ostrowie Mazow., Jan Kobielak — Warszawa, Anita Pokorska — Wieluń, Wiesław Ludwig — Koło.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Józefie Wiatrowskiej z Holończyc i Zenonowi Sobczakowi z Ostrowi Mazow.

Rozwiązanie zadań z nr. 28 „Moich Powieści“:

Konikówka: „Chcesz mieć dużo radości, to zamów „Moje Powieści“ i przeczytaj „Krainę szczerości“. Anagram: 1) ampla. 2) lampa. 3) palma. 4) plama.

Trafne rozwiązania nadesłali pp. Roman Stęczniewski — Sulmierzyce, Wanda Prabucka — Zduny, Juljan Bittner — Mieczanica, Jadwiga Waścińska — Rogoźno, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Irena Kapuścińska — Więcbork, Stanisław Koszke — Poznań, Ireneusz Paliński — Ostrołęka, Władysława Kocyłówna — Łódź, Józef Żychliński — Konin.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Jadwidze Waścińskiej z Rogoźna pow. obornicki Wybudowanie 525 i Romanowi Stęczniewskiemu z Sulmierzyc ul. Kaliska 14, powiat Krotoszyn Wlkp.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

47)

Zygmunt upadł na krzesło, jakby piorunem rażony.

„Czy ja zwarjowałem?“ zawołał ze drżeniem w głosie, przecierając sobie oczy. „A może ja śnię? Ale nie, nie, ty stoisz przecież Kazimierzu tuż przedemną i ja trzymam twoją rękę w dłoni. I ty, — ty opowiadasz mi właśnie, żeś pokochał dziewczynę, której na imię było Anielcia Dubois, która przybyła z Paryża, której matka dostała obłąkania i przez długi czas była więzioną w zakładzie doktora Morizano. — Ha, Kazimierzu, — ty prawisz brednie, — fantazjujesz w gorączce, — albo ci się nagle w głowie pomieszało, bo Anielcia Dubois z Paryża, — to to samo dziewczę, które poczciwy stary Dubois wychował, — córka tej nieszczęsnej obłąkanej jest przecież — twoją żoną, — twoją zaślubioną małżonką!“

Kazimierz wyrwał prędkim ruchem rękę z dłoni hrabiego.

„Proszę cię, kochany ojcze“, odezwał się, odstępując z gniewem o krok wstecz, nie żartuj sobie z najświętszych uczuć, które mieszkają w mojem sercu, — nie wyszydzaj boleści, która moją pierś rozrywa! To dziewczę, które się nazywało Anielcią Dubois, które pokochałem wówczas i które jeszcze teraz ciągle kocham, nie zostało moją żoną, bo to biedactwo nie żyje! To serce, które w słoiku tuż przed tobą stoi, — ono biło niegdyś w jej piersi!“

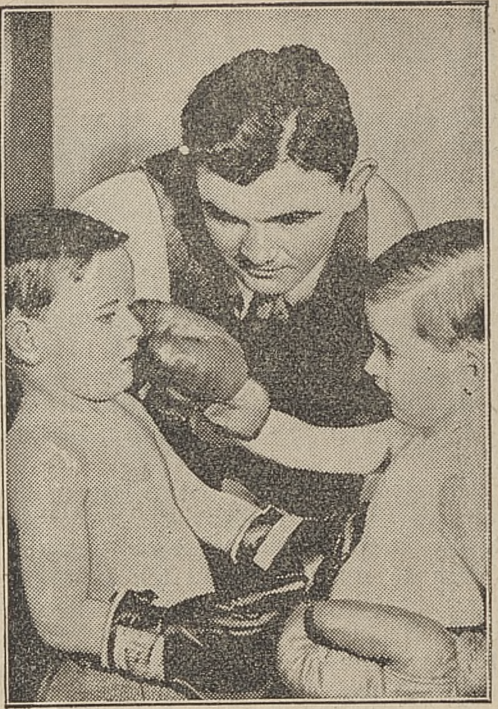
Hrabia Zygmunt spoglądał zdrętwiałym wzrokiem i z przerażeniem w obliczu na słoik, — potem na Kazimierza, — podniósł się zwolna i począł nerwowo kroczyć po pokoju tam i napowrót, — nagle pospieszył do młodego hrabiego i wziął go w swoje objęcia.

„Mój biedny Kazimierzu!“ zawołał, „teraz wszystko wyjaśnione! Nie, ja nie omyliłem się wówczas, kiedym ci powiedział, że przecież jest możliwem, że jakaś zręczna cyganica wplątała cię w swe sidła. — Jestem przecież twoim przyjacielem, Kazimierzu, — i w tej chwili przemawiam do ciebie tylko jako taki, — nie w charakterze ojca Loli. A więc jako twój szczery przyjaciel daję ci radę, zaklinam cię: zapomnij o tej dziewczynie ,bo ona była — oszukanką!“

„Zygmuncie! — Nie poniewieraj pamięci tej jedynej istoty na ziemi, która mi jest drogą!“

„Kazimierzu“, zawołał Zygmunt wzrastającym głosem, „nawet choćbym się miał narazić na niebezpieczeństwo, że się rozgniewasz na mnie, — że się poważnimy od dzisiaj zacząwszy, pomimo tego muszę cię przestrzec, — zawołać na ciebie: Zapomnij o niej, bo ona była niegodną twojej miłości!

„Ta cyganica opowiadała ci“, ciągnął dalej hrabia Sokolski z wzrastającym zapałem, — prędkiemi słowy, — „że ją wychował stary Dubois i że jej wyjawił tajemnicę matki. Tego wszystkiego dowiedziała się ta dziewczyna przypadkiem



Mistrz bokserski Islandji James Braddock zaprawia już zawczasu swoich dwóch synków w ulubionym sporcie. Kto wie, czy i ci malcy nie zostaną kiedyś mistrzami, jak ich ojciec.

— podsłuchała gdzieś, — przybyła potem do Polski, chcąc podstępem i zdradą grać rolę innej. Ale tu widać dopiero, że i najpodlejsze narzędzie czasem wybiera Bóg, aby pokręcić drogę złego człowieka. W tym celu wybrał nawet takiego doktora Morizano. — Przez niego została ta dziewczyna zatrzymaną przemocą w zakładzie dla warjatów, — tymczasem prawdziwa Anielcia Dubois znalazła drogę do rezydencji i do swego tem, co ci dotychczas było tajemnicą: ojca. Dowiedz się teraz, mój synu, o Lola, moja córka, jest tą dziewczyną, która się przedtem mianowała Anielcią Dubois, — jej matka, to ta biedna obłąkana, która przez 17 lat siedziała zamknięta za kratami w zakładzie dla obłąkanych doktora Morizano i którą ja dopiero stamtąd uwolniłem. Lolę wychował stary Dubois w Paryżu, — ona przyniosła mi list, który przed dawnym czasem, — przed wielu laty napisałem do jej matki. List ten stanowi najlepszy, nie dający się niczem zaprzeczyć dowód jej prawdziwości. — O, mój biedny synu, wpadłeś w sidła zręcznej komedjantki, — ale Bóg w niebie nie chciał, aby ta miłość zrujnowała ci życie, — on dozwolił, abym ci dzisiaj otworzył oczy, — uratował cię jeszcze na brzegu przepaści, nad którą znajdowałeś się ręka w rękę z tą dziewczyną“.

„Sądzisz ojcze“, zawołał Kazimierz po dłuższej strasznej pauzie głuchym tonem, „sądzisz rzeczywiście, że Anielcia, — moja Anielcia, — była oszukanką? Ha, niechże i tak będzie, nie mogę ci zaprzeczać, boś mi podał dowód, którego nie mógłbym zbić lub usunąć. Ale ja proszę cię, mój ojcze, zostaw mnie teraz samego, za wiele zwaliło się na mnie naraz, — nie mogę tego wszystkiego zrozumieć i pojąć tak szybko. Proszę cię, zostaw mnie samego. Teraz idź, — innym razem, innym razem rozmówimy się jeszcze o tem wszystkiem!“

„Idę już, mój synu“, odpowiedział hrabia, podając Kazimierzowi rękę, „pojmuję to doskonale, że jesteś głęboko wzruszony. To trudne zadanie zacząć pogardzać tem, co się dopiero kochało, czciło i uwielbiało. Ale wejdź sam w siebie i rozważ wszystko zdrowym rozsądkiem, a będziesz musiał się przyznać sam przed sobą, że głupotą było z twojej strony choć jedną chwilę rozpaczać wskutek śmierci tej dziewczyny. Pozwólmy jej spoczywać w pokoju, — ale jej cień nie powinien padać więcej na twe życie i zaciemniać je! — Przyrzeknij mi to, mój synu!“

„Co takiego, ojcze?“

„Przyrzeknij mi, że od tej chwili wyrzucisz z piersi wspomnienie o tej dziewczynie“.

„Ojcze, tego nie potrafię! — Ha, żebym miał dowody, — dowody pewne, że Anielcia naprawdę zawiniła, — że się podszyła pod cudze nazwisko, — że naprawdę w tym celu przybyła do rezydencji, aby cię oszukać, — aby się podstępem wkręcić do twego serca, — aby zająć miejsce innej, — — w takim razie, — wówczas“.

„Chcesz dowodów?“ zawołał Zygmunt w tej samej chwili z tryumfującą miną. „Bogu dzięki, jednym dowodem mogę ci służyć, który wyklucza natychmiast wszelkie dalsze wątpliwości. Opowiadałem ci właśnie o tym liście, który Lola mi przyniosła. A teraz wiedz: córeczka nieszczęsnej, obłąkanej Almy miała ten list na piersi w chwili, kiedy Dubois wyprowadził ją i uniósł ze zakładu obłąkanych doktora Morizano. Przyznajesz, że ten list jest ważnym dokumentem i pełnym dowodem?“

„Bezwątpienia, mój ojcze!“ zawołał Kazimierz z przekonaniem. „Ta, która mogła się wykazać tym listem, która ci go przyniosła, ta tylko mogła być twoją prawdziwą córką!“

„A wierzysz mi, Kazimierzu? Wierzysz, że w tak ważnej, świętej sprawie nie zdołałoby się kłamstwo wcisnąć na me wargi?“

„O Zygmuncie, ja wierzę w ciebie jak w ewangelję, — jestem przekonanym, że nie potrafiłbyś mnie zwieść!“

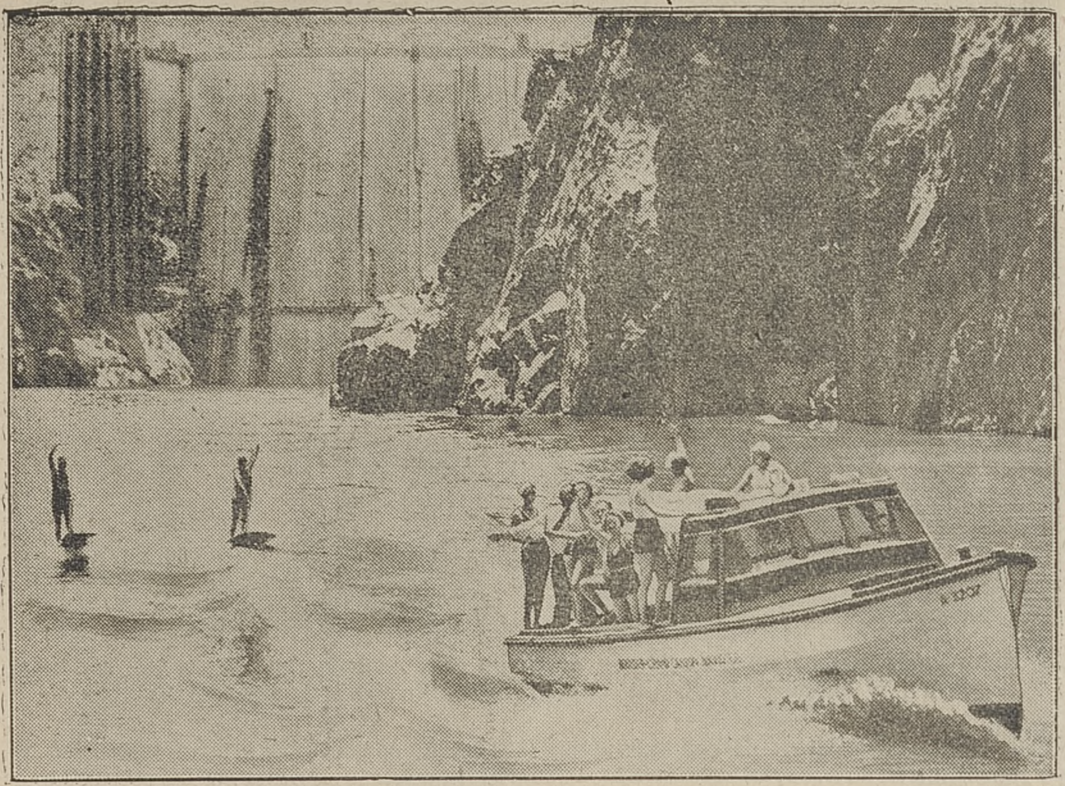
„A więc, mój synu, ja ci przysięgam, że Lola mi ten list przyniosła. Jako dowód, — popatrz się tutaj, — ten drogi, kosztowny dokument, któremu właściwie zawdzięczam rozpoznanie mej córki noszę zawsze przy sobie na piersiach, — tutaj jest ten list, — a list ten wręczyła mi moja córka Lola, a nie jakaś Anielcia, jakaś inna dziewczyna, którą przypadkiem napotkałeś!“

Drżącą ręką rozpiął Zygmunt Sokolski surdut, z wewnętrznej skrytej kieszonki kamizelki wydobył zżółkły list, który będąc młodzieńcem napisał do Almy.

Kazimierz pochwycił list oboma rękami. Niespokojnie drgały palce trzymające ten arkusik, — czytał z całem skupieniem, — upuścił go, podniósł znowu z podłogi i począł go na nowo oglądać.

„I ten list prawdziwy?“ spytał, „czy nie może być falsyfikatem?“

„Jak Bóg w niebie, tak mówię prawdę“, krzyknął Zygmunt Sokolski, „ja sam napisałem ten list, — każdy wiersz, każde słowo, każdą literę rozpoznaję do-



Niezwłocznie po zakończeniu gigantycznej tamy wodnej w miejscowości Doulder, przedsiębiorczy Amerykanie wpadli na pomysł wyzyskania olbrzymich fal, obijających się o wysokie skały i wynajmują łodzie motorowe odważnym, którzy dokonują wyczynów akrobatycznych na tym niebezpiecznym odcinku.

kładnie. — Zresztą potrzymaj ten papier do światła a rozpoznasz mój herb wodnym drukiem na papier wyciśnięty! Ten list jest prawdziwy, — na to mógłbym rękę włożyć do ognia, — pozwoliłbym się za to zabić!"

„Ten list jest prawdziwy!" wyjęknął Kazimierz ochrypłym głosem, i cenny dokument wysunął się z jego drżących rąk. „Więc Lola jest twoją prawdziwą córką, — a ta dziewczyna, za której anielskość mógłbym był przysiąc, — ona mnie oszukała, — nie była niczem więcej jak podłą komedjantką, która się chciała wkraść podstępem do obcego domu, zdradą ułorować sobie drogę do majątku! — Ach, — precz ode mnie wspomnienie, któreś mnie tak długo wiązało silnem uczuciem! — Precz, — nie chcę ciebie, — muszę się uwolnić od ciebie, — muszę, — tak chcę! — Ojcze, przebacz mi, że aż do tej chwili byłem tak zimnym wobec Loli, że wzbroniłem jej tego, co jej się należało prawem boskiem i ludzkiem, — miłości, — którą marnowałem poświęciwszy ją wspomnieniu niegodnej. — Ojcze, ja chcę uszczęśliwić twoje dziecko, — teraz, Lolu, — teraz, — należę tylko do ciebie, — do żadnej innej!"

Z płaczem rzucił się młody, piękny mężczyzna, którego oblicze boleść uszlachetniła, w ramiona Zygmunta, który również ledwie był w stanie powstrzymać się od łez.

„Biedny synu!" zawołał hrabia, przyciskając twarz Kazimierza do swojej piersi i całując jego jedwabiste włosy, „mój biedny, ciężko doświadczany synu, — ileś ty musiał przecierpieć w tej strasznej rozterce ducha i uczuć! — Ale teraz, — teraz dzięki Najwyższemu w Niebiesiech zdjęta opaska z twych oczu, — wreszcie możesz jasno spojrzeć! Wreszcie jesteś wolnym, — wolnym od tego czaru, który całą twą duszę podbił i kazał ci cierpieć tak okropnie!"

Kazimierz nie odpowiadał ani słowa. Płacząc leżał na piersiach ojca swojej żony, który był mu zarazem najlepszym przyjacielem. Pomału podprowadził hrabia Sokolski szlochającego do kanapy, zmuszając go usiąść.

Na palcach zbliżył się do drzwi, aby dać się wyżalić biednemu Kazimierzowi, — był za delikatnym, nie chciał boleści tej dalszą rozmową potęgować.

Ale w tej chwili, kiedy chwytał za klamkę od drzwi, zawołał nagle Kazimierz ochryple:

„Ojcze, ojcze, — weź ze sobą, — weź, powiadam, zabierz, — — ja nie chcę więcej widzieć!"

Był to wybuch rozpaczy, cała gama zawiedzionych uczuć drgała w tym głosie.

„Czego żądasz ode mnie, mój przyjacielu, — czego sobie życzysz, mój synu?" zawołał Zygmunt, odwracając się do wołającego. Co, — co mam ze sobą zabrać, czego nie chcesz dłużej widzieć?"

„Tam!" zakrzyknął młody mężczyzna z przerażeniem, tocząc dziko wzrokiem. „To serce, to fałszywe, zdradzieckie serce! — O weź je i zabierz ze sobą, każ je pogrzebać gdzie w jakiem zacisznem ustroniu, abym go nie odnalazł więcej. — Weź, — bo mnie się ciągle zdaje, że ono wzdycha i jęczy bez ustanku, — że woła na mnie: To nieprawda, — jestem biednem, niewinnem, oczernionem sercem ludzkiem, które nawet po śmierci nie ma spokoju, musi się pozwalać podejrzywać, — oskarżać tak niegodnie!"

Pomału postąpił Zygmunt do biurka, — wziął do ręki słoik, — wstawił go napowrót w skrzyneczkę i zamknął w niej.

„Postaram się już o to, mój synu," odezwał się, „abyś nie zobaczył więcej tego serca. Ale razem z niem musisz i całą przeszłość wydrzeć sobie z duszy! — Bądź zdrów! — To była godzina łaski, — godzina zmiłowania Bożego!"

Kazimierz nie odpowiadał. Głowa jego opadła na miękką poduszkę na kanapie, — oczy miał przymknięte, leżał na wznak z twarzą bladą jak płótno, — był podobnym do zgasłego trupa.

Drzwi zamknęły się za wychodzącym hrabią Sokolskim, a młody człowiek nie ruszał się, — nie drgnął nawet powieką.

Nagle podniósł się z kanapy, podskoczył gorączkowo, — zataczając się podbiegł do półki z książkami, — niby hypnotyzmem spętane oczy podniósł w to miejsce, gdzie stała skrzyneczka ze słojem i ze sercem, a gdzie obecnie świeciła pustka.

Potem pospieszył do biurka, — machinalnie począł suwać palcami do powierzchni tegoż, jakby szukał czegoś, a nie mógł znaleźć; — po dłuższej pauzie przycisnął drżące palce do czoła, — okrzyk boleści wyrwał mu się z piersi, — nerwowy płacz, — wielkie łzy spływały mu smugami po bladej twarzy.

„Fałszywe serce!" zawołał, zanosząc się od płaczu z głębokim, potężnym bólem. „Fałszywe, oszukańcze serce! A jednak było mojem, — należało do mnie! — Zabrano mi je, — i oto teraz, — teraz zdaje mi się, że to życie to pustynia bez końca, po której muszę się wlec bez spoczynku, aż kiedyś znużony upadnę!

„Zniknąłeś z mego horyzontu cudowny obrazie, na którego spoglądałem niby na aureolą świętości otoczonego wizerunku. — Zdegradowano cię, — z świętości stałeś się nędznem bożyszczem, — ha, nie inaczej, modliłem się do fałszywego bóstwa, — muszę zapomnieć o cię, — chcę zapomnieć! — Ba, — więcej, — muszę pogardzać tobą! — A przecież byłem szczęśliwym, — ach, jak szczęśliwym, — pomimo podstępu i zdrady!

„Pocoście mnie zbudzili z mego snu, — poco? — On był tak słodkim, — tak pięknym! — Biada mi, — obudziłem się i dopiero teraz widzę jakim nędzny, — ogołocony z najszczytniejszego uczucia miłości!"

LXVI.

Niebezpieczne spotkanie

Lola opuściła dom zaraz po rozmowie ze swym ojcem. Wyjechała czekającym na nią powozem do Luwru, owego słynnego magazynu z modami, który każde serce niewieście wprawia w żywszy takt. Zajechawszy tam wysiadła z powozu, stangretowi kazała na siebie czekać, sama zaś udała się do wspaniałych sal zapełnionych cudami gustu i elegancji, — wszystkiem, czego tylko niewieścia próżność zażądać zdoła.

Było tam nagromadzone wszystko, czego tylko dama salonu potrzebować może, — a więc jedwabne tkaniny ze Wschodu i z południowej Francji, angielskie materje, indyjskie szale, kapelusze z Wiednia i z Florencji, śliczne buciki z Nowego Jorku i Filadelfji, koronki z Brukseli i ze saskich gór spiżowych, rękawiczki z Holandji, płaszcze najsławniejszych firm Berlina, które na cały świat towar swój rozsyłają, — drogie kamienie i kosztowności z Tiffany,

woalki z Hiszpanji, gorsety z Francji, drogocenne futra z Petersburgu, Moskwy i Nowogrodu, — wszystko, wszystko, o czem tylko serce kobiety zamarzyć może, było tam rozłożone na widok przed zdumiałem okiem pięknego gościa.

Nie dziw więc, że sale te od wczesnego ranka aż do późnego wieczoru były zapełnione przedstawicielkami piękniejszej połowy ludzkości. Tutaj były obmyślane plany, w jaki sposób podbić serca najzimniejszych mężczyzn.

Lola była w tym magazynie już znajomą osobistością. Sprzedający i sprzedające pozdrawiały ją uprzejmie, kiedy z dumnie podniesioną głową, ale i gracją w ruchach przechodziła koło ich składów, — szefowie departamentów rzucali znaczący wzrok na dotyczącego obsługującego, który miał szczęście ofiarować swe skarby pięknej damie. — Rzeczywiście rzadko która z pań była z taką uwagą obsługiwaną, bo też Lola nie targowała się ani nie namyślała zbyt długo, — obojętnie wypróżniała sakiewkę u jednej z licznych kas płacąc co tylko zażądano.

Lola bawiła dzisiaj kilka godzin w Luwrze. Zapach, który napełniał wszystkie sale wielkiego bazaru podobał jej się widocznie, — oprócz tego ten ruch, to życie, ciągły przypływ coraz nowych gości robił jej dobrze. Tutaj nie potrzebowała przynajmniej rozmyślać nad swoim losem, — na krótkie godziny zapominała o swym bólu, o Kazimierzu, którego ubóstwiała, a który ją odtrącił od siebie.

Ale jak tylko spostrzegła jakiegoś podobnego mężczyznę do Kazimierza, natychmiast uciekał od niej spokój duszy, na nowo zapałał się nie gasnący nigdy płomień, uczucie tęsknoty chwytało ją za gardło, — chciała znowu uciekać do domu, klękać przed ubóstwianym i żebrać o odrobinę miłości.

Żebrać? Nie, do tego była za dumną, — nie mogła się więcej przezwyciężyć, — nie mogła ofiarować mu miłości, którą raz odrzucił, — nie, — obecnie obmyśliwała nad sposobem, jakby się mogła pomścić.

Miłość i nienawiść, — tak przeciwne pojęcia, a jednak jakże blisko nieraz goszczą tuż obok siebie w sercu kobiety, — jak często miłość rodzi nienawiść i przeciwnie nienawiść — miłość!

Ale Lola naprożno łamała sobie głowę, chcąc wymyśleć coś takiego, coby Kazimierza wytrąciło z jego odrętwiałości, — obojętności.

Właśnie w tej chwili rozmyślała nad tem, szukając naprożno środka stosownego, któryby był w stanie pomścić tę obelgę, jaka ją od niego spotkała.

Ha, — wreszcie wpadła na dobrą ideę, — wreszcie pojęła, czem by go mogła głęboko zranić, czem by go mogła śmiertelnie obrazić, — znała doskonale drogę, którą miała pójść, aby móc mu tą samą miarką odmierzyć, równie zimno i bez litości zatruł jej życie, ale, — brakowało jej odwagi porwać się tego środka.

Gdyby go oszukała z jakimś innym mężczyzną, gdyby się dowiedział kiedyś, że splamiła jego zacne imię, że się poniżyła przed innym, ona, — ona hrabina Zamska, — ha, wtedy uczułby się dopiero nieszczęśliwym w całym słowa tego znaczeniu!



„W zdrowem ciele, zdrowy duch" — zasadzie tej hołdują te oto młode kobiety, które w wolnej chwili uprawiają z zamiłowaniem gimnastykę.

Lola odmalowywała sobie w duszy przechadzając się po bazarze, co by to za cios musiał być dla Kazimierza, cios gorszy od pioruna, — jak onby daremnie starał się przeboleć tę hańbę.

Ale od urzeczywistnienia tej strasznej myśli powstrzymywały ją rozmaite powody.

Najpierw, — i to było najważniejszą przeszkodą, która jej w drodze stawała, — czuła odrazę, wstręt przed zetknięciem się z jakimś innym mężczyzną, bo kochała tylko jednego, — Kazimierz tylko był jej bogiem, jej ideałem.

Wzdrygała się przed tą straszną myślą, by pozwolić jakiemuś innemu mężczyźnie dotknąć się choćby tylko jej ręki. Kiedy sobie jeszcze do tego wyobraziła, że ten inny miałby przyłożyć swoje usta do jej ust, chciałby ją objąć w pół, przyciągnąć do siebie, wówczas zdawało się jej, że musiałaby uciekać, o ile sił by tylko miała w nogach. Zresztą, chociażby nawet przezwyciężyła swój wstręt i odrazę, aby tylko osiągnąć cel, do którego dążyła, — któremuż mężczyźnie miałaby się oddać i zwierzyć ze wszystkiem?

Nie znała ani jednego, któryby się poważył podnieść namiętny wzrok na nią, na hrabinę Zamską. Och, ci mężczyźni gotowi wszyscy ładną, młodą kobietę przyprowadzić do upadku, ale przecież są za tchórzliwi, aby się ośmielić przystąpić z podobnym zamiarem do szczęśliwej mężatki. Jak szakale do swego żeru tak i oni podchodzą niezrozumiane, zdradzone, opuszczone żony, — wkradają się tam, gdzie zwietrzą, że małżeństwo jest w dysonansie, — ha, tam otaczają swoją zdobycz, skaczą koło młodej pani domu niby ćmy koło światła. Ale małżeństwo Loli było powszechnie znane jako przykładne małżeństwo, — wierzono wszędzie z całą stanowczością, że Kazimierz i jego młoda, piękna żonka spędzają tak pełne szczęścia i rozkoszy miodowe miesiące, jakie tylko w pierwszem stadjum pożycia małżeńskiego wymarzyć sobie można. — Nie, — żaden mężczyzna nie poważyłby się w tym pierwszem czasie oszukać zakochanego hrabiego Kazimierza.

Zresztą byłaby za dumną, aby mogła wybrać pierwszego lepszego. Musiałby to być chyba jakiś, który pod każdym względem mógłby dorównać Kazimierzowi, a takiego nie było w Paryżu.

Loli zrobiło się nagle w Luwrze gorąco. Tysiące i tysiące gazowych płomieni pozapalano w całym gmachu, do tego masa elektrycznych lamp zapłonęła naraz jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej, — gorący powiew owionął ją wokoło, — był już najwyższy czas, by powrócić do domu, — wieczór zapadł już na stolicę.

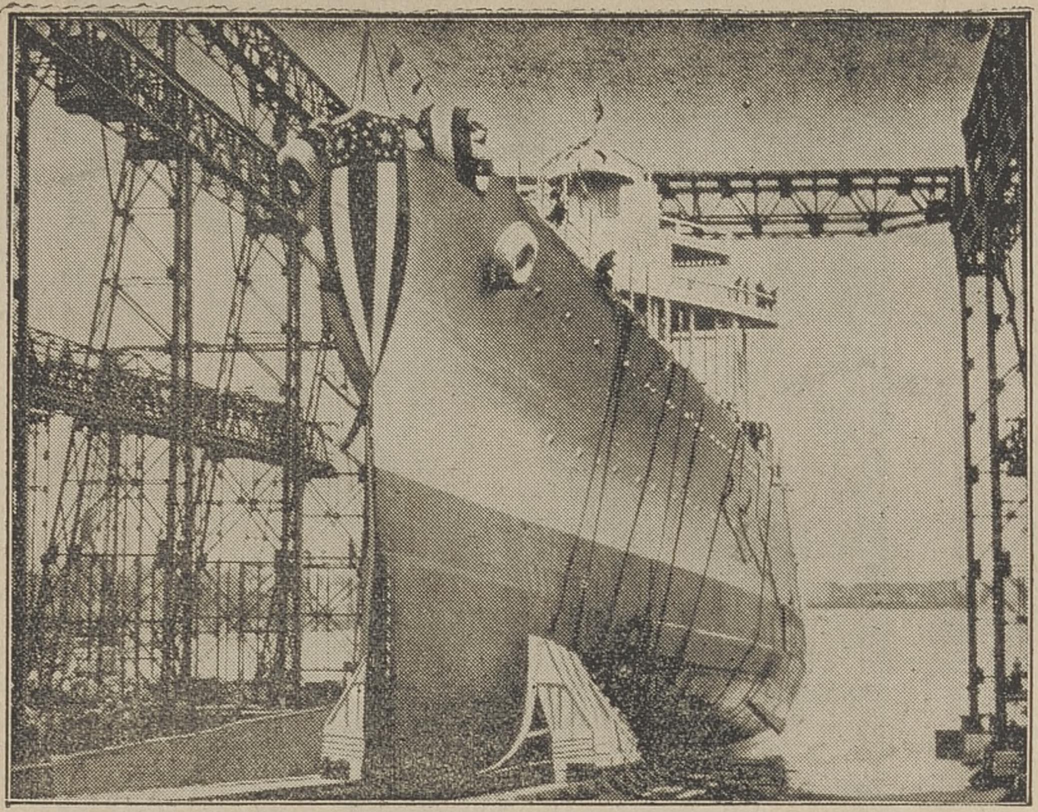
Wyszła z magazynu i widząc całe fale napływających ludzi, którzy ukończywszy dzienne zajęcia wracali do domu, widząc ten ruch nieustanny, to życie wieczorne pulsujące na bulwarach, które Paryżowi nadaje cechę pierwszej stolicy świata, zapragnęła, by choć raz zmieszać się z tym tłumem i przespacerować się wolno, bez żenady po mieście.

Odprawiła stangreta, każąc mu odjechać do domu.

Zmieszała się z przechodniami i pozwoliła się unosić tej fali ludzkiej, — zanim się spostrzegła znalazła się na placu opery, posuwając się zwolna na bulwar włoski.

Wszystkie kawiarnie i restauracje, które się ciągną wzdłuż tego bulwaru i które w tej okolicy, gdzie właśnie Lola przechodziła należą do pierwszorzędnych, były zapchane formalnie ludźmi. Głowa przy głowie siedzieli panowie i panie w obszernych kawiarniach, czytając skwapliwie najnowsze dzienniki, — kelnerzy skakali od stołu do stołu, — mali roznosiciele gazet przeciskali się z mozołem przez ścisk, roznosząc i zachwalając najświeższe wiadomości, — tuż obok stołów, które powysuwano aż na ulicę, przepływały całe tłumy przechodniów.

Dziwna rzecz, — Loli zachciało się nagle wolności, — dzikiej, rozpętanej wolności, zdało jej się, że jest ptakiem, którego długi czas trzymano w złotej



Ostatnio spuszczono na wodę amerykański krążownik, któremu dano nazwę „Quincy". Długość jego wynosi 200 m, szerokość 19 m.

klatce, wreszcie udało mu się wyfrunąć niepostrzeżenie i oto otwiera skrzydła, próbując ich siły, wzlatuje w powietrze i znika.

Zdało jej się, że rok ten, który przeżyła jako córka hrabiego Zygmunta Sokolskiego, rozpływa, zapada się w niepamięć, — ona nie jest więcej hrabiną Lolą Sokolską, — obejmuje napowrót rolę pięknej Loli, królowej walca z pod „zielonej papugi".

Namiętna krew poczęła jej szybciej krążyć w żyłach, — pierś podnosiła się z dumą i rozszerzała się na myśl, co to za piękne, urocze życie to życie wolne, bez troski, bez więzów towarzyskich.

„Ha, — jeżeli napowrót stanę się awanturnicą", zamruczała Lola sama do siebie, „jeżeli znowu wpadnę w to bagno zepsucia, w którem się niegdyś nurzałam, na kogoż spadnie wina? — Tylko na niego, — tylko na Kazimierza! — Powinien mnie był podnieść do siebie, — w jego rękach byłabym miękkim woskiem, mógłby ze mnie ugnieść coby chciał, — ale nie zadał sobie trudu, nie chciał mnie uszlachetnić, — odsunął mnie na bok, — odepchnął, ha — teraz niech mnie weźmie kto chce, — komu się spodobam!"

W tej samej chwili, w której Lola te słowa więcej myślała jak mówiła, zadrżała nagle.

Jakby zaczarowana, zelektryzowana stanęła, — nie mogła odwrócić oczu od jednego mężczyzny, który z gazetą w ręku siedział przy stole w kawiarni Anglais i przechylił się naprzód spoglądając na ulicę.

„To on!" wyszeptała Lola, „Boże święty, to Alfred Robber!"

Chciała spiesznie uciec, chciała umknąć zawczasu, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, stały się ciężkie, — jakby wrosły w ziemię. Ten mężczyzna, któremu oddała się niegdyś jako dziewczyna, wywołał w niej tysiące wspomnień.

Bała się go, ale zarazem jakaś magnetyczna siła pociągała ją do niego, — chciała odwrócić oczy od niego, a jednak patrzała nań dalej, jakby wzrok jego, niby wzrok jadowitego węża przyciągał, — czarował ją.

Alfred Robber rozpoznał ją także, nie mogło być wątpliwości co do tego.

Pomału odłożył gazetę na marmurowy stolik, — z lekkim uśmiechem otrząsnął cygaro z popiołu, — z lekceważeniem rzucił kelnerowi jednofrankówkę, — przytem wszystkiem nie spuszczał oka z Loli, jakby ją chciał oczyma przykuć do miejsca.

W następnej chwili podniósł się z krzesła i pospieszył ku niej.

„To ty naprawdę, piękna Lolu?" zaszeptał jej cichym głosem do ucha, „doprawdy, mało co brakowało, a byłbym cię nie poznał. Stałaś się o wiele piękniejszą od tego czasu, kiedy to jeszcze w moich objęciach suwałaś się po wywoskowanej podłodze sali pod zieloną papugą. — Przypominasz sobie jeszcze, jak muzyka musiała nam zawsze najdzikszą melodję wygrywać. — Ale teraz za to zamiast zielonych fatałaszków masz na sobie drogie jedwabie. Ha, — jak to się czasy zmieniają, — z Loli, królowej walca, zrobiła się Lola Zamska, wspaniała hrabina."

„Nędznik", pomyślała Lola, „naumyślnie przywoływuje mi na pamięć te wspomnienia z dawnych czasów, — wspomina mi lokal pod zieloną papugą, mój szalony taniec z nim, — mój nędzny strój ówczesny, — to wszystko czyni, by mnie upokorzyć!

„Tak, to ja jestem!" odpowiedziała Lola, a ponieważ wiesz pan, kim jestem teraz, więc nie zechcesz mnie pan kompromitować, aby nas przypadkiem nie zobaczono wspólnie, rozmawiających ze sobą. Czy zapomniał pan o tem, że poszukują za panem? List gończy obleciał już po całej Europie! Wiedzą dokładnie, że pan jesteś tym, który chciał pozbawić życia pannę Elzę Rodeń".

„Ale słodka Lolu", odparł na to złoczyńca, „pocóż wspominasz o takiem marnem głupstwie, które i tak poszło w niepamięć? Zresztą myśmy nie w naszej maleńkiej książęcej rezydencji, gdzie mnie znali jak psa kulawego, tylko we wielkiem, niezmiernym Paryżu, w którym się gubi każdy jak ziarnko maku w korcu. Podaj mi twoje ramię, — — możemy całkiem śmiało przespacerować się trochę, — mamy przecież po tak długiem niewidzeniu dużo sobie opowiedzieć!"

Podał jej ramię. Lola była za słabą, za mało energji posiadała, zanadto była pod jego wpływem, aby móc mu się sprzeciwić.

Dopiero, kiedy mu zaciężyła na ramieniu, kiedy uczuła jego uścisk, kiedy począł jej opowiadać całe pół godziny spacerując z nią po bulwarze o najrozmaitszych rzeczach, które tak żywo przypominały jej każdą z nim spędzoną chwilę, kiedy jej uroczo wymalował jej młodość, ten straszny, a przecież piękny czas młodej wolności, — ha, — nie mogła mu się oprzeć, — znowu należała do niego, — była jego, — oddała mu się zupełnie!

„Nie bardzo szczęśliwą zdajesz się być", ciągnął dalej Robber z lekkim uśmiechem, patrząc jej bystro w oczy; „twoje małżeństwo z Kazimierzem Zamskim musi być straszne jednostajne, nudne, — nie prawdaż?"

Nie odpowiedziała mu nic; zdało jej się, że chce zbezcześcić coś świętego mówiąc w tak pogardliwy sposób o jej związku z Kazimierzem.

„Cóż, czy nie zbiera cię ochota, piękna Lolu", ciągnął dalej Alfred Robber, „przeżyć tak choćby jeden tylko wieczór, ale tak po naszemu, wesoło i hulaszczo? Mógłbym się założyć, że ty nawet nie znasz jeszcze tajemnic Paryża. Ba, a tu trochę inne zabawy jak pod zieloną papugą! — Co ty na to, jakbym ja cię tak dzisiaj wtajemniczył w najróżnorodniejsze tajemnice stolicy tutejszej?

„Bądź przekonaną, że poprowadzę cię jak najlepszy cicerone, — przynajmniej raz znowu wybawisz się, wyśmiejesz i wytańczysz! — Spodziewam się, żeś jeszcze nie zapomniała walca, — myślę walca takiego, jakiego my zawsze tańczyli, przy którym drży serce, krew szybciej w żyłach krąży i pierś faluje jak burzliwe morze".

„Ach, o czem ty mówisz, — nie będę sobie mogła przypomnieć tych zabaw, — jestem przecież mężatką, — porządną kobietą!"

„Ha, ha, a ty może myślisz, że nie zastaniesz tam najporządniejszych dam z towarzystwa w tym lokalu, do którego cię zaprowadzę; one wszystkie zacne, — ale rozchodzi się tylko o to, aby w tajemnicy mogły używać. Zrób tak samo, Lolu, dozwól nam się dzisiaj wieczór wybawić porządnie, — nie będzie ci przecież brakowało wymówki, wymyślisz cośkolwiekbądź i wymówisz się od kolacji".

„Nie, nie, — tego nie mogę, nie potrafię się odważyć, chociaż, —" zamil-

kła nie wypowiedziała głośno swojej myśli niechcąc Robberowi poddawać broni do ręki.

„Chociaż? Prawdopodobnie twój pan małżonek nie będzie nawet w domu tego wieczora?"

„Człowiecze, czyś ty wyszpiegował tajemnice mego domu? Rzeczywiście Kazimierz zaproszony na dzisiaj do znajomego ambasadora. W pałacu tegoż mają urządzić dzisiaj wyłącznie męską zabawę."

„Więc widzisz, w takim razie nie masz nawet potrzeby obawiać się czegokolwiek. Piękna Lolu, dzisiaj straconaś, musisz mi się poddać, — najprzód pojedziemy na kolację, — a potem, — potem zaprowadzę cię pod „czerwoną kotkę".

„Naturalnie musisz wziąć jedwabną maskę na twarz, aby cię przypadkiem nie poznano, — zresztą jam zazdrosny i nie chcę, aby cię inni obstępywali i adorowali."

Loli zdało się, że słyszy już tony walca, — szelest jedwabnych sukien, — wesołe, srebrne śmiechy, — ba, nawet te same perfumy, które wdychała w siebie w lokalu pod „zieloną papugą" drażniły już w myśli jej powonienie.

Ach, jeszcze raz, — jeszcze raz chciała wrócić do tego bagna, które tak uroczo nęciło jej zmysły, — jedno spojrzenie chciała tylko rzucić, — myśl ta już, że ona hrabina Lola Zamska będzie tańczyć w sali pod „czerwoną kotką", myśl ta już zadawalniała jej pragnienie zemsty. Więc, — żona Kazimierza hrabiego w sali balowej w Paryżu, w lokalu pod „czerwoną kotką", — ten fakt sam musiał już rzucić żelazną rękawicą w twarz dumnego hrabiego.

„Niechże będzie", zawołała Lola, oddychając szybciej, pójdę z tobą, — pokosztujemy znowu tego starego życia tej nocy, — ono musi nam przypomnieć nasze szczęście młodociane. Ale musisz mi przyrzec, Alfredzie, że najdalej o północy znajdę się w mojem mieszkaniu."

„To ci przyrzekam", odpowiedział Alfred bez namysłu, „a teraz chodź, — widzisz przypadek zwiał nas razem jak dwa płatki śniegu, więc fruwajmy wesoło jak i one bodaj przez jedną noc, z blaskiem dnia znikniemy z powierzchni jak śnieg spadły na wiosnę.

Alfred Robber zawołał przejeżdżającą dorożkę i rozkazał woźnicy zawieźć siebie i swą piękną towarzyszkę do jednej znanej restauracji.

Powóz zatrzymał się niedługo przed pałacem Royal. Alfred zaprowadził Lolę do małego pokoiku, jednego z licznych przepierzeń, otaczających wokoło wielką salę jadalną.

Kelnerzy poprzynosili znakomite potrawy, — szampan perlił się w kieliszkach, — dopiero jak Lola wypróżniła parę pucharów, — jak mocne wino zaczęło podniecać humor i krążyć jej w żyłach, — przestała myśleć dalej nad tym faktem, że obecnym krokiem, pobytem swoim pod „czerwoną kotką" wzięła rozbrat z dotychczasowem życiem; — nie przeczuwała więcej, że podała djabłu mały palec, i że ten nie omieszka złapać ją za całą rękę.



Nad morzem — w promieniach słońca i przy słonym podmuchu wiatru.

Ach, ten Alfred Robber był szatanem w ludzkiej postaci, — ładnym, uwodzącym szatanem, który umiał znakomicie Lolę coraz więcej przyciągać do siebie.

Ładna, młoda dama nie pojmowała już, dlaczego właściwie odepchnęła Alfreda Robbera, — czemu zerwała z nim tak zupełnie, — dlaczego swojego czasu taki wstręt czuła do niego. Może dlatego, że przelał krew? — Mój miły Boże, o tem wiedziała przecież zawsze, że był złoczyńcą. A zresztą, — on zakłuł wówczas Elzę Rodeń nie dla swoich jakichś zamiarów, nie dlatego, aby siebie chronić, ani dla korzyści, tylko jedynie dlatego, aby ją obronić przed zdradą, aby zachować ją od tej niemiłej niespodzianki, by jej nie zerwali przypadkiem maski z twarzy. Powinna więc była być mu tem wdzięczniejszą, a nie odwracać się od niego.

„Alfredzie", zawołała Lola, łapiąc go za rękę, „możesz mi przebaczyć, — ja nie postępowałam względem ciebie, jak się należało, — powinnam była stanąć po twojej stronie w tej chwili, kiedyś był w niebezpieczeństwie."

„Ha, jesteś kobietą, a na kobiety nie można się nigdy spuścić", odpowiedział jej Robber. „Zresztą mnie się wcale nieźle powodziło pomimo tego, że tak nagle opuściłem służbę u hrabiego Zygmunta Sokolskiego. — Postawiłem się pomimo tego na nogi."

„A więc masz pieniądze?"

„Pieniądze, — hm, pieniędzy zawsze potrzeba. Gdybyś kiedy miała sposobność wpuścić mnie do kasy twego pana małżonka, byłbym ci za to bardzo wdzięcznym. — Ale teraz nie rozmawiajmy o interesach, — interesa są paskudne; — niech żyje uciecha, — niech żyje miłość, — trąć się ze mną, piękna Lolu!"

Kieliszki zadźwięczały, — Loli twarz rozpaliła się wskutek wypitego wina, — nie broniła się nawet, kiedy Alfred Robber objął jej kibić ramieniem i począł ją zwolna przyciągać do siebie.

„Co robisz, Alfredzie?" zawołała i w tej chwili głowa jej opadła na jego piersi, „ja jestem, — ja jestem —"

„żoną innego!" przerwał jej Robber ze śmiechem, „o tem wiem; — ale ja już jako chłopak nie mogłem sobie zapamiętać dziesiątego przykazania, — a teraz, — teraz zapomniałem jak najzupełniej na nie. — A zresztą, czyś ty nie była pierwej moją, ładna Lolu, zanim zaślubiłaś Kazimierza Zamskiego? — Czyż nie mam do ciebie dawniejszych praw od niego?"

Lola nie odpowiedziała mu, ale w oczach jej zabłysło dziko na wspomnienie imienia męża.

A więc miałaby sposobność do zemsty, za którą tak tęskniła; — pragnienie zemsty nie opuszczało jej, poszło z nią razem aż tutaj do tej restauracji. Pod-

stępnie i nieustannie szeptało jej do ucha powzięte plany. Niech się dzieje! Oto leży w objęciach innego mężczyzny i wala czyste, nieskalane nazwisko swego męża w błocie, drze swój honor kobiecy w kawałki, jakby to była nędzna szmata. — Niech ją całuje Alfred, — niech sobie ją bierze, — Kazimierz sam zawinił, — przywiódł ją aż do tego kroku!

A przecież, kiedy głowa Alfreda Robbera zsunęła się na jej piersi, kiedy począł wpijać się w jej usta długim, namiętnym pocałunkiem, który wszystkie jej nerwy wprawił w wibrację, — przymknęła oczy malując sobie we fantazji, że to ją Kazimierz całuje. — Nigdy, nigdy przedtem nie smakował jej pocałunek z ust rudego łotra tak słodko jak obecnie.

„Ucałuj mnie jeszcze raz!“ zawołała, podnosząc głowę, obu rękami zawisła mu na szyi ciągnąc go do siebie. — „Ach, pocałuj mnie ukochany tak, jak dopiero co mnie ucałowałeś, — całuj, — ach, ja śnię, — ach, jak szczęśliwą jestem —“

Znowu odezwał się długi, przeciągły, namiętny całus, — pierś jej poczęła falować coraz szybciej, coraz goręcej łączyły się ich usta, coraz bardziej przyciskali się do siebie.

Cisza zapanowała w pokoiku, — po korytarzach uganiali kelnerzy, — wiedzieli dobrze o tem, że nie śmią wejść pierwej do przedziału, zanim się na nich nie zadzwoni.

I perełki szampana w wysokich cieniutkich kieliszkach niby małe, ukryte djabełki to opadały na dół, to znowu wznosiły się do góry, przypatrując się namiętnym całusom, rozognionym oczom, coraz dzikszemu rozpasaniu zmysłów, — śmiejąc się i hihotając zcicha, — znikając wreszcie z powierzchni.

Była już dziesiąta wieczór, kiedy Lola znowu oczy otworzyła. Znajdowała się w rogu kanapy, która stała w pokoiku; doprawdy, ona śniła, — spała, — złe duchy szampana zaćmiły jej zmysły.

„No, przebudziłaś się?“ zawołał Alfred Robber, który stał przed wysokiem lustrem i zaczesywał swe wąsy małą szczoteczką do góry. „Śniłaś bosko?“

Tak, — sen odleciał od niej, — ów cudny, błogi sen, który połączył ją jak najzupełniej z jej ukochanym Kazimierzem. — Wszystko, na co pozwoliła Alfredowi, — te pocałunki, które ją w zachwyt wprawiały, — — wszystko, co jej dał, — to wszystko przyjmowała niby od Kazimierza, tak ją złudna fantazja zaczarowała! Dlatego też teraz, kiedy się obudziła i nie ujrzała Kazimierza tylko jakiegoś innego mężczyznę, — teraz, — ach teraz, mogłaby zaszlochać z bólu i rozpaczy, czuła, że straciła coś, czego tak długo strzegła niby skarbu, a coby z taką bezbrzeżną rozkoszą oddała temu, którego nazwisko nosiła.

Ale Kazimierz, — zdeptał ten skarb nogami, — odrzucił precz od siebie, — ha, więc on był winnym, że skarb ten w błoto wrzuciła, — nie powinien się dziwić, że nie stanie przed nim czysta i bez skazy.

„Już czas!“ zawołał Alfred Robber, wyciągnąwszy zegarek z kamizelki i spoglądając na wskazówki, — „jeżeli chcemy się jeszcze dostać pod „czerwoną kotkę“, to już najwyższy czas! — Zresztą chciałaś przecież Lolu o północy być w domu?“

„Tak, tak, chodźmy“, zawołała, „zaprowadź mnie pod „czerwoną kotkę“, — chciałabym sobie zatańczyć, — chcę być wesołą, — chcę się śmiać, — chcę słyszeć muzykę, — chcę widzieć ludzi! — Prędko, Alfredzie, mnie zbiera szalona chętka zakręcić się w szybkim tempie walca tak, jak niegdyś, — zapomnieć na wszystko, — na wszystko.“

Powstała i spojrzała w lustro. Aż się przeraziła swoim obrazem, — fryzura była w nieporządku, — małe kosmyki włosów spadały jej na czoło, — cała toaleta była zmięta, zgnieciona.

Prędko przyprowadziła ją do ładu, małym grzebykiem kieszonkowym, który jej podał Alfred Robber przyczesała sobie włosy.

„Jakaś ty piękna!“ zawołał Alfred z prawdziwem uniesieniem, — jeszcze jeden całus, — prędko jeszcze jeden gorący, słodki całus!“

Złapał ją z tyłu, — ale kiedy chciał przechylić jej głowę wstecz, aby móc przycisnąć swe usta do jej warg, wyrwała mu się z objęć i zawołała nagląco:

„Nie teraz, — chodź pod „czerwoną kotkę“, — nie zapominaj, że o północy wybije godzina rozstania.“

„Rozstania, ale nie na zawsze, ładniutka Lolu“, zawołał Alfred, „teraz przecież będziemy się widywali częściej.“

„Ach, to zdaje mi się nie będzie możliwem, — ja nie będę mogła wydalać się z domu, — dzisiaj był tylko wyjątkowy przypadek, że Kazimierz przyjął zaprosiny, — zwyczajnie odmawia wszystkim.“

„Ha, jak tobie nie będzie możliwem przyjść do mnie, to ja przybiegnę do ciebie“, odezwał się Alfred Robber.

„Ty do mnie? — Nieszczęsny, nie poważ się nigdy przekroczyć progu mego domu, — jak łatwo mogliby cię poznać! — Zresztą śmiałbyś ty przyjść przed oczy tego mężczyzny, którego o mało co nie wtrąciłeś do kryminału?“

Alfred Robber poruszył lekceważąco ramionami.

„On by mnie nie rozpoznał“, odrzekł, „zresztą postaram się pod dobrą maską wejść do jego domu. — O nie, Lolu, od tej myśli nie odwiedziesz mnie, ja muszę w jakiś sposób wcisnąć się do domu hrabiego Zamskiego. — Prawdopodobnie spotkam się tam z hrabią Zygmuntem Sokolskim, może nawet z Elzą Rodeń, — ale to nic nie szkodzi. Ciekawym, czy Elzę zaboli mocniej rana na mój widok? Haha, opowiadają sobie, że u starych ludów przyprowadzano mordercę do swej ofiary, jak rana się otworzyła i krew poczęła na nowo płynąć wina jego była udowodnioną. No, tego się nie obawiam, uważam to za głupi przesąd, — rany duszy, to być może, że się rozjątrzają, — ale rany ciała, co to, to nie, — jak raz się dobrze zagoją nie potrafią się odsklepić!“

Uśmiechając się nałożył Loli na plecy płaszcz, — ona spuściła na twarz welon, — ze sztywnie podniesioną głową pokroczył ze swoją dobraną, przez rzęsiście oświetloną salę jadalną, oboje dumni niby para bogów niestety upadłych. Puszyli się i radowali, że goście oglądali ich z podziwem.

„A, to ładna para!“ słychać było z ust wielu.

W minutę później siedzieli w powozie jadąc pod „czerwoną kotkę“.

LXVII.

Szalona noc

Muzyka, taniec i zgiełk uderzyły o uszy Loli, kiedy ze swoim towarzyszem wstępowała do osławionego lokalu.

Nie potrzebowała się obawiać, że ją tu poznają, bo Alfred Robber okrył jej twarz zanim opuścili dorożkę jedwabną półmaską; — dostał ją od jednookiego, który takie rzeczy zawsze miewał na składzie.

Alfred Robber zamienił z dyrygentem kapeli kilka słów, natychmiast zabrzmiały skoczne dźwięki walca Straussa „nad modrym Dunajem“, rozbrzmiewając po całej sali.

Alfred Robber objął piękną kobietę, podziwianą dla ślicznej figury i eleganckich ruchów już i tak przez większą część mężczyzn, w pół ciała. — Lola opadła na jego piersi i jak niegdyś „pod zieloną papugą“ sunęli po sali złączeni w dzikim, namiętnym tańcu, jakby jedno ciało, — z jedną myślą — użycia.

Piękna ta para była powszechnie podziwianą.

Szczególnie jednak zdawała się interesować niemi jedna zielona maska.

Z pod maski tej wyglądało parę rozumnych, bystrych oczu. Nieustannie kierował wzrok swój na piękną postać Loli, nawet teraz, kiedy Robber przetańczywszy odprowadzał swoją ładną towarzyszkę na krzesło, na które Lola wyczerpana padła z lekkiem westchnieniem, nie spuścił nieznajomy kryjący się pod zielonem domino ani oka z jej postaci.

Lola drżała na całem ciele wskutek rozkoszy tańca, — pierś jej falowała niby wiatrem rozdymany żagiel okrętowy.

Dolna część twarzy, która była niezakryta maską, przybrała różową, ponętną farbę.

Zielone domino wsunęło się w kąt, szpiegując dalej bacznie wszystkie ruchy złoczyńcy i pięknej zamaskowanej.

„Do djabła“, zamruczał sam do siebie, „nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć, co za śliczną tancerkę prowadzi ten łotr Alfred Robber do sali, tańczy z nią bez wytchnienia i przyciska się do niej, jakby szatan, chcący porwać ze sobą w dół do piekła niewinnego anioła.

„Tę młodą kobietę musiałem już gdzieś widzieć, — tę figurę podziwiałem już raz, — ten wzrost, — ta suma wdzięków w tej postaci wpadła mnie już raz w oko. — Do tego jeszcze ta śliczna forma dolnej części twarzy, — te trochę za bujne wargi, jakby stworzone do pocałunku, — nie, nie, to nie możebne, to przecież nie może być; — a jednak, — ha, muszę się przekonać i zapewnić co do tego koniecznie.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

HUMOR

Kwiatki sądowe

— Panowie przysięgli! Spojrzyjcie na twarz oskarżonego! Jest to zwierciadło, w którem każdy z was ujrzy oblicze zwyrodnialca!

* * *

— A teraz już pytam nie jako adwokat, ale jako uczciwy człowiek...

* * *

— Wszystko to odbyło się, jak błyskawica, w ciągu dziesięciu minut.

* * *

— Wobec tego zagadnienia stoją bezradnie nawet ludzie bardzo inteligentni. Nic dziwnego, że nie potrafią odpowiedzieć na nie sędziowie!...

* * *

— Czyż jest prawo, zabraniające nieboszczykowi pisać testament na łożu śmierci?

Przegląd koni

Podczas przeglądu koni oficer wydał rozkaz, by żołnierze przy meldowaniu podawali najpierw swoje nazwiska, a potem nazwę konia.

Przez pewien czas spis odbywał się sprawnie.

— Kosicki — „Wicher".

— Wojciechowski — „Kasztan".

— Olicki — „Zefir".

Wreszcie:

— Alcybiades — „Szmondakier".

— „Szmondakier?" — dziwi się oficer.

— Cóż to, do djabła, za nazwa dla konia?

— Nie szkodzi, panie poruczniku, melduję posłusznie, że myśmy się zamienili nazwiskami!

Bankructwo

Co to jest bankructwo?

— Bankructwem jest, jeżeli się chowa pieniądze wierzyciela do kieszeni od spodni i każe mu się zabrać marynarkę.

Obecne interesy

— Jak tam zarobki panie Majerowicz?

— Otworzyłem sklep luster.

— No i zarabiasz pan?

— Niczego sobie, jak położę złotówkę, to mam zaraz dwie.

Źle zrozumiał

— Bolku wstrząśnij mnie porządnie!

— A to poco?

— Doktór kazał lekarstwo wstrząsnąć przed wypiciem, a ja zapomniałem.

Celowość

— Słuchajno, dlaczego pszesz „do rąk własnych" na liście, który posyłasz do Karola?

— A bo chcę, ażeby go przeczytała jego żona.



A mówiłam!... Jak się zacznie wojna to nietylko w Abisynji, ale na wszystkich frontach...

Racja

— Tobie brakuje rogów i byłbyś skończonym osłem.

— Ależ przecież osioł nie ma rogów.

— Racja. Wobec tego niczego ci nie brakuje.

Doskonały

Plutonowy (do przybyłych rekrutów):

— Kto z was umie gotować?

Jeden z rekrutów występuje.

— Nazwisko?

— Treposz Alojzy.

— Umiecie gotować?

— Myślę.

— Co znaczy myślę? Czy umiecie gotować w dużym polowym kotle?

— Już w większych gotowałem.

— Co?

— Asfalt, panie plutonowy.

Sportowy styl

Z listu sportowca:

„...a jeszcze zapomniałem Ci donieść że kazałem ściąć to drzewo, które rosło przed oknem mego gabinetu. Jesion ten zachował się, jak kiepski bokser, po kilku uderzeniach poszedł na deski..."

Dyskretna

— Dlaczego tak płaczesz, moja droga?

— Nie mogę ci powiedzieć, mój kochany.

— Dlaczego?

— Bo to jest za drogie.

Chińska uprzejmość

— O, najdroższa moja, wonny kwiecie wiśni, najpiękniejsza córo kraju wschodzącego słońca, urocza Li-Mon-Ja-Do, pozwól mi, słudze niedogodnemu, który ośmielił się zakochać w tobie, przyjść dziś w nocy do twojej pagody...

— Nie mogę, szlachetny i zacny Ki-Wa-Tem, ponieważ mój zacny, czcigodny i znany z gołębiego serca, łagodny jak owieczka ojczulek, zapowiedział, że ci wszystkie zęby wybije.

W szkole

— Jakie zwierzę jest najdroższe?

— Słoń, gdyż ma wszystkie kości z kości słoniowej.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.